

CZŁOWIEK W POLSCE

Cena egz. 60 gr.

Przenumerata
kwartalnika:
w kraju zł. 3.—
zagranicą zł. 4.—

Opłacenias: za wiersz
1 mm w tekście zł. 1.—
za tytułem 60 gr.

Redakcja
i Administracja:
Warszawa,
Grójecka 45 m. 15
Telefon 9-40-17
Konta P. K. O. 9.861

Redaktor prasy i muł
endz. ad 5-7 pap

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca

TREŚĆ: Prof. M. Orzecki: Niemoc rewolucji. — Al. W. Al.: Przełamanie psychozy. — St. Roth: Walka z bezdomnością. — Zdarzenia i uwagi. — B. Ch.: Niefortunna próba. — Dyskusja: Procesy o rozruchy. Pod naciskiem. Opinje. — A. Uziembło: Prawdziwa legenda. — A. U.: Nowe drogi. — J. Surzyński: Proces w Samborze. — Stefan Oskt.: Z „trzęcej” Warszawy. — Sprawy społeczne. — Wśród książek.

NIEMOC REWOLUCJI

Dziecko, uderzające pięścią o kant stołu, który sprawił mu ból, wywołuje u nas uśmiech. Śmiesznym dla nas jest ten sposób reagowania, sposób, który ono uważa za słuszny i celowy, a o którym doświadczenie nasze poucza, że jest nietylko bezskuteczny, ale sam przez się bolesny. W danym przypadku różnica pomiędzy nami, dorosłymi a dzieckiem, polega na różnicy ilości posiadanego doświadczenia.

Niemia dwóch ludzi o dokładnie jednakowej ilości doświadczenia. Tak samo niemia i jednakowo doświadczonych zbiorowisk społecznych. Doświadczenie jakiegokolwiek zbiorowiska społecznego nie może być ani uboższe ani bogatsze niż doświadczenie jego członków. A ponieważ stwierdziliśmy już, że doświadczenie poszczególnych jednostek jest pod względem i ilościowym i jakościowym od siebie odmienne, więc rzecz tak samo się ma i z doświadczeniem całych zbiorowisk.

Ta jest przyczyna, dlaczego różne zbiorowiska ludzkie zachowują się wobec tych samych zjawisk odmiennie. Naprz. zaćmienie słońca jednocześnie wywoła panikę i barbarzyńskie modły w dżungli afrykańskiej — ogromne zainteresowanie i nic ponadto w Londynie.

Tem się też tłumaczy niezmiernie doniosła okoliczność, że niemia i być nie może ustroju społecznego obiektywnie dobrego lub koniecznego. Ustrój, jego postać i treść zawsze pozostaje w pewnym stałym stosunku zależnym od sumy doświadczenia i poziomu etycznego danego zbiorowiska społecznego. Dlatego hotentoci nie mogą w żadnym wypadku przejść od swoich form życia społecznego do angielskich, dlatego ustrój Francji jest niedobry i nieodpowiedni dla australijskiego plemienia Arunta. Każdy ustrój jest możliwy jedynie w pewnych warunkach miejsca i czasu.

Z drugiej strony jednakże człowiekowi każdemu bez wyjątku, a skutkiem tego i zbiorowiskom ludzkim, jest właściwym dążenie do coraz to szerszego rozpowszechnienia i utwierdzenia dobra. Ta właściwość nie jest cechą człowieka, ale samego dobra. Człowiek z istoty swej natury, w samem zaraniu swego istnienia nie jest dobrym lecz złym. Dobra to jest rozwinięciem przez człowieka pewnych jego przyrodzonych właściwości, które w epoce przedhistorycznej tkwiły w nim tak, jak i w wyższych zwierzętach. Te ostatnie, jak wiadomo, nie są zdolne do moralnego postępu. Obserwacja stosunków zwierzęcych nie wykazuje, aby one w masie ulegały zmianie.

Odmienne rzecz się ma z człowiekiem. Potrafił on już w zaraniu swego istnienia nie tylko przeżyć, jako zwierzę, uczucie miłości w ilości potrzebnej dla zachowania gatunku, lecz potrafił też cechę sobie uświadomić i rozwijać. To też postęp polega na coraz to głębszym i szerszym przeżywaniu dobra i miłości, czyli na coraz to szerszym niszczeniu zła, żyjącego w duszy ludzkiej.

W ten sposób otrzymujemy obraz ponurej i złej duszy człowieka pierwotnego, która zapoczątkowała pochod ludzkości ku przyszłości dobrej i pełnej miłości. Ponieważ każda przyczyna posiada skutki, pociąga go za sobą i każde dobre lub złe przeżycie. To też walka pomiędzy dobrami i złami przeżyciami w duszy ludzkiej nie jest jedynie walką o taki lub inny stan duszy, ale i o skutki takiego a nie innego stanu.

To wszystko tłumaczy nam, jaki zachodzi związek pomiędzy ustrojem społecznym, a psychiką ludzką. Stosunki wzajemne pomiędzy ludźmi są skutkiem ich nastroju i przeżyć i nie mogą być od tych przeżyć niezależne. Przyczem i to trzeba nadmienić, że stosunek tej zależności posiada charakter wza-

jemny. To znaczy, że złe postępowanie wywołuje złe przeżycia, a dobre postępowanie — dobre. Zły człowiek, który dokonał aktu przebaczenia, (poniechal np. zemsty), przez to samo stał się w duszy lepszy. Dla tego wychowawca jest w stanie, układając postępek swego pupila, wywołać w jego psychice coraz to nowe emocje dobra i miłości.

Postępowaniem ludzkim w dużym stopniu można kierować i przy pomocy zewnętrznych wpływów wywoływać w nim zmiany, między innymi i zmiany na lepsze. Jednak najważniejsze tu jest zagadnienie czasu, koniecznego dla dokonania zmian. Człowiek, żyjący krótko w jego własnym rozumieniu, jest niecierpliwy. Skoro proces życia polega na zmianach i ich przeżywaniu, człowiek pragnie mieć tych zmian w każdej chwili czasu możliwie dużo.

Tymczasem umieszczenie w pewnej jednostce czasu nieskończenie wielkiej ilości zmian jest niemożliwe zwłaszcza w zakresie psychiki ludzkiej. Stąd wypływa dążność do gwałtownych zmian ustroju społecznego, a zarazem niepowodzenie prób tego rodzaju. Historia dowodzi, że od dawnych czasów objawia się owa niecierpliwość człowieka w urzeczywistnianiu dobra. Ta próba, zrealizowana w gwałtowny sposób, przy pomocy siły jest rewolucją, jest uderzeniem dziennej piastki o kant złowrogiego stołu.

Uświadomimy sobie zło, niesłuszność tych czy innych form ustroju, człowiek, oczywiście, dąży do ich zmiany. W miarę im głębsze jest jego poznanie zła i ukochanie dobra, tem gwałtowniejszą przybiera w nim postać pragnienie dobra. Jeżeli on nie posiada odpowiedniej ilości historycznego doświadczenia, wówczas usiłuje przy pomocy siły realizować dobro swej duszy. A ponieważ, jako się rzekło, każdy zły postępek wywołuje odpowiednią deformację w psychice czyniącego złe, wczorajszy pięknoduch rewolucjonista staje się zatem i zbrojem. To jest, ciągnąc dalej nasze porównanie, ten ból, którego zaznaje dziecko po uderzeniu piastką w stół.

W ten sposób można zrozumieć, dla czego rewolucje zawierają i piękno i brzydotę, i dobro i zło, dla czego, jak powiedziano o Robespierze, tkwił głowa w niebie, a nogami w błocie i krwi. Wszystko tu powiedziane słowami również przyczyną wewnętrznego niepowodzenia wszelkich rewolucji społecznych. Zwycięzcy rewolucjonści radykalnie zmieniają formy zewnętrzne życia gromadzkiego, a wykazują, że treść życia pozostała niezmieniona.

Naprz. walka o zatarcie różnic pomiędzy możnym i biednym jest stara, jak świat. Pocyniła ona postępy i różnice te istotnie posiadają tendencję pomniejszania się. Niecierpliwa ludzkość wielokrotnie usiłowała proces ten przyspieszyć przy pomocy pięści, noża i kuli. Ani rewolucja francuska ani rosyjska nie zniszczyły plag nędzy. Odwrotnie, nazajutrz po dokonaniu tych wielkich aktów usłyszeliśmy skargi, że nęda jest, że możnym jest nadal dobrze, a złe biedakom. Cóż stąd, że możnymi i nędzarzami zostali inni? Kogo to może pocieszyć lub zadowolić?

To też w będzie się ci, którzy myślą, że jakiegokolwiek dobro lub miłość dadzą się urzeczywistnić przy pomocy siły. W takim samym będzie postępowaniu ci, którzy myślą, że nie należy sprzeciwiać się sile lub złu.

Sama istota dobra polega na walce ze złem. Sam fakt istnienia dobra jest zapowiedzią śmierci zła. Jednak miłość nas poucza, że dobro walczy ze złem, to znaczy jedynie ze złem samem, ale nie walczy i walczyć nie powinno z naczyniem zła, jakim jest zły

człowiek! Gdy mamy przed sobą złego człowieka, powinniśmy zabić nie jego, a zło w nim. W ten sposób powstało przykazanie nie zabijania.

To też nigdy nie uda się zmiana na lepsze, dopóki nie polepszą się ludzie. Każdy moment naszego życia będzie o tyle tylko lepszym od poprzedniego, o ile myśmy stali się lepsi, lub potrafiliśmy innych uczynić lepszymi. A to ostatnie jest możliwe jedynie przez wychowanie.

Myśli tu wypowiedziane znane były i są różnym systematom religijnym i moralnym. Tam spływały one z objawień nadprzyrodzonych, z intuicji wieszczów, z ogromu miłości, jaką człowiek potrafił w swej duszy wyhodować. Nauka o społeczeństwie pozostawała w tyle. Pozostaje ona zawsze w tyle względem intuicji. Ale żyjemy w czasie, gdy to, co było jedynie wiedzą świętych i proroków, staje się prawdą naukową, którą więc nie tylko posiadać ale i uzasadnić można.

Istotny pochod ludzkości naprzód polega na ciągłej przemianie dusz ludzkich. Coraz to bogatsze doświadczenie pouczać nas będzie o konieczności porzucania sposobów gwałtownej walki o dobro. Będziemy niszczyć zło, jak chorobę, zabijając je w ludziach złych, lecz ich samych zostawiając przy życiu, już jako dobrych.

Walka nie jest ani łatwa, ani krótka. Jednak jest jedynie skuteczna. Warunkiem postępu jest zupełne uzgodnienie reform społecznych z reformami moralnymi. Cały wysiłek reformatorski powinien być na osiągnięciu harmonii tej skierowany. Rewolucjonista, który myśli, że społeczeństwo podłych niewolników da się zamienić na wspaniałą społeczność wolnych ludzi jedynie przez usunięcie tyraństwa, jest śmiesznym leniuchem, który nie rozumie, że nie tyran spowodował niewolę, lecz niewolnicy wywyższyli tyraństwa. Walka z tyranją jest skuteczną nie w drodze usunięcia tyraństwa, a w drodze uniemożliwienia tyranji w samej istocie swej. Zniszczyć można tyranję, jak zniszczono ludożerstwo. Ludożerstwa niema nie dlatego, że jeś ć człowieka nie wolno, ale dlatego, że nikt już tego nie potrafi.

To też, gdy mowa o rewolucyjnej poprawie człowieka, odrzucamy ją nie, jako niemoralną, a jako nie prowadzącą do celu. Siła i gwałt nie mają nic wspólnego z poprawą jakiegokolwiek stosunków, o ile nie są stowarzyszone z odpowiednim postępowaniem etycznym, a ten nie zna gwałtownych skoków.

Całe nieszczęście, że dotychczas nie umieliśmy zrealizować połączenia serca i rozumu. Łatwiej nam będzie, gdy zapanuje rozumne serce i serdeczny rozum.

Prof. Michał Orzechki.

Na kongresie w Vichy premier Daladier w odpowiedzi na wskazówki, że sytuacja gospodarcza wymaga dyktatorskich pełnomocnictw, skupionych w jednych rękach, dał bardzo charakterystyczną odpowiedź: „Nad problemami gospodarczymi i finansowymi górną inną problem — woli i godności”. W ten sposób sprawa ustroju została postawiona na gruncie etycznym — odpowiedzialności człowieka samego za swoje losy. Nie chcemy czynić z tego aluzji do naszych stosunków bynajmniej, gdyż wypadki u naszych sąsiadów zarówno wschodnich i zachodnich potwierdziły tylko dobrze znane skutki przewrotu majowego. Słowa przytoczone jednak powinny się stać poważną wskazówką dla wychowania politycznego narodu. Należy doprowadzić naród do poziomu, na którym potrafi on w ten sposób oceniać sytuację.

PRZEŁAMANIE PSYCHOZY

Sprawa, poruszona w poprzednim numerze naszego pisma przez p. Wodźnicę w artykule p. t. „Yo-yo” jest zbyt poważną, żeby można było nad nią przejsć do porządku dziennego. Nie taję, że mam bardzo dużą pretensję do autora, że jej nie opracował i nie pogłębił od razu, że poprzestał na rzuceniu myśli. Takie rzucanie myśli najczęściej nie tylko jest niepożyteczne — jest prostorem szkodliwym, gdyż służy za zwolnienie się z obowiązku jej przeprowadzenia, ucieśnienia, a nawet przemyslenia.

Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że kryzys nasz ma podłoże przedewszystkiem psychiczne i to nie tylko w postaci nawarstwienia historycznego, o jakim mówi w niezmiernie ciekawych artykułach w „Kurjerze Porannym” p. red. Stpicyński, ale i w owym naszym zamiętaniu do posad, w niespółmiernem z rozwojem zmechanizowaniu życia. Człowiek ulicy, człowiek, który nie pretenduje do stanowiska dyrektora fabryki czy banku, albo zgoła ministra — ten człowiek czuje się wolny od obowiązku inicjowania czegośkolwiek. On musi usiąść gdzieś przy biurku, albo stanąć przy warsztacie i wykonywać to, co mu każą, pobierając za to zapłatę. Nie chce żadnego ryzyka, nie chce nic organizować. Jego żądania streszczają się do tego, by ktoś coś „uruchomił”, uruchomił „maszynę”, „organizm”, „dziedzinę”, w której on zostanie jakimś kółkiem, czy trybem.

W psychice nasz brak prawdziwej ambicji stworzenia czegoś. Brak zrozumienia, że z małej sielanki urasta najcudowniejsza epopeja, z drobnego warsztatu mydła — wielka fabryka chemiczna, że każda rzecz postawiona dobrze ma widoki wielkiego rozwoju, że jednym słowem niema rzeczy małych, z którychby nie mogły wyrosnąć rzeczy wielkie.

I pod tym względem ma p. Wodźnica zupełną rację — tę psychozę „beźnicjatywności” trzeba złamać, trzeba złamać w człowieku, trzeba złamać w jednostce. Trzeba te jednostki natchnąć siłą i przedsiębiorczością.

I to jest rzecz poważna, której przez samo gadanie się nie zrobi, która powinna być najdokładniej przemysłana i opracowana w szczegółach.

Przedewszystkiem powiedzmy sobie jedno: pomysłów mogących przyczynić się do rozwoju wytwórczości, nie brak. Urząd patentowy ma całe stopy wynalazków zupełnie realnych, zupełnie dobrych, wynalazków znakomicie udogodniających życie. Tu jest źródło pomysłów, które może być bardzo wszechstronnie wykorzystane. Kto je ma wykonać? Kapitał jest dziś zbyt płochliwy, liczyć na niego nie można. Wykorzystać je może tylko spółdzielnia, spółdzielnia wytwórcza, w której znajdą się i organizatorzy i wykonawcy.

Rzeczą organizatora jest nadanie rzeczy przedewszystkiem szaty prawnej. Przeprowadzenie jak najściślejszej kalkulacji, zbadanie, jakie warsztaty istniejące mogą dostarczyć pół-fabrykatów. Przy pomocy jakich środków dany przedmiot może być wykonany.

We wszystkich tych wypadkach nie może być mowy o jakichś inwestycjach, o zakupowaniu drogich narzędzi, czy warsztatów. Nie — to wszystko powinno być zrobione przy pomocy tego, co już istnieje. Spółdzielnia pozostawia sobie ostateczny montaż — bodaj drogą chałupniczą — i sprzedaje.

Spółdzielnia — to człowiek. Nie kapitał, nie narzędzie — to człowiek. O powodzeniu decyduje jego zdolność do solidarnego, wspólnego wysiłku. I tu jest w gruncie rzeczy największa trudność. Wszystko inne da się obliczyć na podstawie istniejących danych — człowiek jest wielką niewiadomą. Na wieść, że gdzieś jest praca, zbiegają się odrazu tysiące, ale czy z pośród tych tłumów wielu naprawdę nadaje się do danej pracy, czy pośród nich dużo jest uczciwych i zdolnych pracowników — to pytanie.

Na szczęście i pod tym względem nie jesteśmy już dziś bez pewnych i to bardzo pożytecznych wskazówek. Sekcja Pomocy Matce i Dziecku Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej może dostarczyć ogromnego materiału pierwszorzędnej jakości. Prowadzi ona opiekę nad rodzinami. Jej wywiad jest bardzo wszechstronny i bardzo gruntowny. Opieka indywidualna zdaje sobie zupełnie dokładnie sprawę z wartości zarówno fizycznej, jak i moralnej poszczególnych jednostek, posiada curriculum vitae każdej z nich. Ewidencja uzdolnień jest tam prowadzona jak najściślej. Poza tem Sekcja posiada nawet pewną egzekutywę i ogromny wpływ moralny na swoich podopiecznych. I oto jest wielki rezerwuuar, do którego można sięgać. Cała przygotowawcza praca, o ile chodzi o pracowników fizycznych, jest już zatem przygotowana, jest zrobiona. Chodzi o pracowników umysłowych. Ci podlegają rejestracji, są znani przez organizację inteligencji pracującej — nie posiadamy jednak o każdym z nich danych wyczerpujących — to też dobór będzie bardzo trudny. Przed trudnościami jednak cofać się nie można. Trudności raczej powinny stanowić podniecie do pracy.

Mamy wrażenie, że kapitał do tego rodzaju przedsięwzięcia jest albo zupełnie niepotrzebny, albo jeżeli nawet i okaże się niezbędny — to w rozmiarach zupełnie nikłych. Wytwórczość na własne ryzyko — oto zasada, z jaką się przystępuje do pracy. I ta wytwórczość musi być tak zorganizowana, by produkt, który chcemy wypuścić na rynek, wyszedł z warsztatu już w kilka dni po jego organizacji. Szybkość wpływów pieniężnych, zwłaszcza w pierwszym etapie pracy, kiedy będzie chodziło o natchnienie ludu wiarą w jej owocność, jest najważniejszym warunkiem powodzenia.

Tak pojęta praca winna być ukoronowaniem działalności Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Żywienie ludzi, ratowanie dla nich mieszkań, podnoszenie ich psychiczne, wyzwalanie z nich sił do walki o kawałek chleba — to wszystko jest tylko początkiem pracy. To wszystko powinno zadać do uczynienia z człowieka jednostki twórczej, jednostki wytworzącej.

Ostrzeż tylko trzeba przed jednym — przed rozpoczynaniem od razu roboty na wielką skalę. Nie. Zanim ogarnie się szersze sfery tą działalnością w ten sposób pojętą — trzeba wykończyć we wszystkich drobniactwach jedną jej komórkę i dopiero doświadczenie takiej komórki będzie mogło służyć za podstawę do akcji na szerszą skalę. Komórka dobra — wzbudzi niewątpliwie naśladowictwo — wzbudzi rozszerzenie akcji i na kółła dziś pozostające poza naszym wpływem — komórka zła może tylko zniechęcić do tak pojętej akcji walki z bezrobociem.

Al. W. Al.

WALKA Z BEZDOMNOŚCIĄ

I.

Sprawa mieszkaniowa, tak popularna w swoim czasie, zesłała jakoby w opinii publicznej na plan drugi. W opinii publicznej tylko, bo w rzeczywistości waga jej jest coraz większa, jak to słusznie wydatnia „Kurjer Poranny” w szeregu świetnych artykułów na ten temat. Brak mieszkań kładzie się coraz cięższym brzemieniem na nasze życie i, trzeba powiedzieć wyraźnie, spycha nas na jakiś szary koniec w szeregu narodów europejskich, staje się czemś, co ma posmak już nie nieszczęścia, ale katastrofy — stanowi hańbę dla Państwa i społeczeństwa.

Można się ostatecznie nie wzruszać potwornymi wynikami ankiet Instytutu do Spraw Społecznych, dowodzącymi, że załudnienie szeregu mieszkań wynosi po 15 osób na izbę, można jeszcze spać spokojnie, (oczywiście w wygodnym łóżku) na wieść o tem, że w znacznej ilości izb takich na jedną osobę przypada suterennego zgnień powietrza nie więcej nad 2 metry sześcienne, można zamykać oczy na to, że mieszkania ludzi „cywilizowanych” mieszczą się po jakichś „drewutniach”, są zalewane przez deszcz, zasypywane w zimie przez śnieg, proszący przez szpary. To wszystko traktuje się jeszcze w pewnych kołach jako „zło konieczne”. (Nie przeszkadza to przecie nikomu gorzysć się i oburzać, jeżeli coś podobnego do wiemy się z pism o państwie Sowietów). Gorzej jest, że przeszło cztery tysiące dwieście ludzi w Warszawie pozostaje wogóle bez dachu, a ilość ta rośnie ze zastraszającą szybkością, gdyż dzień w dzień zapada w sądach warszawskich około 100 wyroków eksmisyjnych.

Magistrat miasta stoł. Warszawy usiłował zaradzić złu — dawał eksmitowanym mieszkania, a raczej miejsce w barakach — między innymi na Annapolu. Powstało tam całe miasto, liczące dziś około 12 tysięcy mieszkańców, miasto bezdomnych, miasto pariasów, związanych solidarnością nędzy. Brak pieniędzy sprawił, że nareszcie dalsza rozbudowa tego bezsensownego, urągającego wszelkiemu pocuciu ludzkiej przyzwoitości miasta została ostatecznie przerwana, że nie rozniesza się już to miejsce tortury i masowego wyzrodnienia, na które skazuje ludzi nędza i bezrobocie — ustami polskich sędziów, miejsce kaźni, którego chyba nikt nie będzie uważał za szkołę moralności i przywiązania do istniejącego porządku społecznego.

Ale kiedy przestano z powodu braku pieniędzy budować baraki — wyczerpały się nasze środki w walce z bezdomnością — wyczerpały się doszczętnie. Zostały tylko środki prawa ustawodawczej — moratorium komorniane.

A moratorium to bynajmniej nie wyczerpuje sprawy. Przedewszystkiem jest to środek tymczasowy, którego nie można w nieskończoność przedłużać. Następnie nie sposób jest pominąć jego demoralizującego wpływu. Przez wielu jest ono rozumiane po prostu jako zezwolenie na niepłacenie. Odwleka ono termin eksmisji, ale nie usuwa jej grozy bynajmniej. A wreszcie nędzarz bynajmniej nie zawsze umie korzystać z dobrodziejstw ustawy. Przeciwnikiem jego w sądzie jest prawnik-adwokat, wobec którego jest on najczęściej bezbranny. I jeszcze gorzej — gdyż stanowisko sędziów w sprawach mieszkaniowych jest bynajmniej niejednolite.

Oto, co na ten temat pisze jedyny bodaj prawdziwy znawca tych spraw w Polsce — prof. M. Orzecki: „Rozumiem konieczność pozostawienia sędziemu zupełnej swobody orzekania. W tej materii niema dwóch zdań. Jednakże, który prawnik nazwie normalnym to, co u nas dzieje się w zakresie moratorium mieszkaniowego? Jeden sędzia udziela moratorium i to na zasadzie dokumentów, drugi w tem samem miejscu, tego samego dnia uważa takie same dokumenty za niewystarczające, żąda dowodu ze świadków; trzeci udziela wprawdzie moratorium, ale tylko na jeden, dwa, trzy miesiące; czwarty wogóle negatywnie odnosi się do moratorium i nie udziela go — chyba w wyjątkowych wypadkach. Jak przy takiej sytuacji wygląda obrona... gdy w każdym niemal oddziale Sądu Grodzkiego musimy inaczej sprawę przygotować?”

Tak pisze adwokat! Znany adwokat, dobrze obyty w sądzie. Cóż ma powiedzieć przeciętny obywatel Ochoty, czy Pragi? Jak on potrafi przygotować swoją obronę? Przecie dla niego sprawa sądowa — to loteria — wynik jej zależy tylko od tego, na kogo trafi. A skutki? około stu eksmisyj dziennie! To rodzinie dziennie wyrzuconych na bruk. „Dla dzieci — powiada prof. Orzecki — eksmisja jest niczem innem, jak wyrokiem śmierci”.

Zadane cyfry nie podały nam jeszcze, jak wzmacnia się śmiertelność pośród eksmitowanych, żyjących bez dachu nad głową — możemy jednak przyjąć na wiarę twierdzenie Autora, gdyż są swój opiera na doświadczeniu największej instytucji opiekuńczej w Warszawie.

A jak wygląda odwrotna strona medalu? Niezmiernie ciekawe są dane ankiety, przeprowadzonej przez Związek Zrzeszeń Właścicieli Nieruchomości, ogłoszone w jednym z ostatnich numerów „Depeszy”.

W Warszawie domy podzielone zostały według dochodu, jaki przynoszą, na cztery kategorie. Dochód z pierwszej wynosi do 10 tys. zł. rocznie, z drugiej do 20 tys., w trzeciej do 30 tys. i w czwartej wyżej. Otóż dla pierwszej zaległości komorniane wynoszą 39% dochodu brutto! — dla następnych zaś 33,9, 26,8, 28,4. Liczbę bezrobotnych są nieco mniejsze i wynoszą dla poszczególnych kategorii 29,1, 21,7, 20,2, 16,4%. Oba te szeregi dowodzą niezbieżnie, że najciężej dotknięte są niewypłacalnością lokatorów domy najniższe. W Łodzi stosunki są również niewesołe. „Na Rokiciu, pisze przytoczone pismo, w domach, dających do 2.000 zł. rocznego dochodu brutto procent zaległości komornianych wynosi 39,3 przy 39,5 bezrobotnych. W domach o dochodzie do 4.000 ankieta wykazała 23,1% zaległości i 34,1% bezrobotnych”. Dla przedmieścia Bałuty zaległości w domach najniższej kategorii wynoszą 42,3%, w Gnieźnie — 45%, w Łęczycy — 54%. Dodajmy do tego, że np. w Zagłębiu Węglowym znaczna część właścicieli domów musi kłóżyć się z opieki społecznej.

Otóż po jednej stronie jest skazanie na ostateczną niedolę całych mas i na śmierć dzieci, — drugiej poważne niebezpieczeństwo gospodarce — zniszczenie dochodowości kamienic i wogóle domów mieszkalnych.

Wybieramy mniejsze zło — to ostatnie. Pod tym względem dyskusji być nie może. Argument o nie naruszalności własności prywatnej nie jest wystarczający. Naruszano go nieraz. W swoim czasie słynna „lex Zoll” naruszyło go — na rzecz właścicieli realności. Dziś konieczność społeczna, konieczność

państwowa domaga się czego innego. Eksmisje muszą być wstrzymane.

Cytowany już przez nas prof. Orzęcki nie widzi rozwiązania tej sprawy na drodze moratorium:

„Po pierwsze moratorium posiada tę niebezpieczną stronę, że jest jak gdyby licencją na niepłacenie komornego... Przeżyliśmy... po ogłoszeniu moratorium na lato 1932 coś w rodzaju wstrząsu. Klienci moi przeważnie wstrzymać się chcieli od płacenia komornego, zaś poza naszym terenem pracy to zjawisko przybrało wprost masowy charakter. Jednocześnie Sady, a zwłaszcza Druga Instancja, zrozumiały moratorium, jako nakaz wydawania wyroków eksmisyjnych dość rygorystycznie i odesłania zainteresowania na drogę moratorium. Indywidualne oddalenie eksmisyj byłoby tu o wiele celowsze. Sąd Najwyższy raz po raz to wyjaśniał, ale na to niewiele zważano”.

Zważano — dodajmy — przeważnie w tych wypadkach, kiedy pozwany o eksmisję miał opiekę, kiedy w jego imieniu stawał adwokat. Wówczas najpilniejszą sprawą jest udzielenie opieki prawniczej zagrożonym eksmisją.

Oczywiście jest to palatyw. Już w roku bieżącym podług zapewnienia znawców około 26% wszystkich usunąć przymusowych następowało nie z wyroków sądowych, ale ze względów technicznych, ze względu na bezpieczeństwo mieszkańców. Wysiedlano poprostu z walących się domów. Zresztą, jeżeli nawet to pominiemy, to przecie i dzisiejszy stan pośród ludzi posiadających mieszkania jest poprostu potworny. Ślączenie w jesionizbowych mieszkaniach uraga wszelkim wymaganiom higieny czy obyczajności. Kwestia mieszkaniowa nie da się zatłumaczyć inaczej, jak przez pomnożenie ilości mieszkań.

I oto wpadamy w błędne koło, z jednej strony podcinamy dochodowość domów z drugiej wymagamy wzmocnienia ich budowy. Sprawa musi być rozwiązana w ten sposób, by jedno nie wykluczało drugiego. Musimy rozstrzygnąć zatem zagadnienie na gruncie innym, niż popieranie przedsiębiorczości prywatnej.

St. Roth.

MIARA NIEDOJRZAŁOŚCI

Bodaj, że niema ani jednej rozmowy na tematy ogólne, w którejby nie poruszono sprawy bezrobocia. Zajmuje się nią każdy — bo prawie każdy osobście albo przez najbliższych członków rodziny, czy znajomych zetknął się sam z bezrobociem. — Każdy mówi o konieczności walki z jego skutkami. Są „znawcy” zagadnienia, którzy narzekają na niedostateczne zasłki, na jakość odżywiania ludzi pozbawionych środków do życia. A tymczasem... w sprawozdaniu Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej, największej instytucji pracującej na tem polu, figuruje skromna cyferka 1.361 zł. 25 gr. — jako całość wpływów ze składek członkowskich. Ponieważ członek płaci 12 zł. rocznie, więc znaczy to, że do Komitetu należy jak dotąd całego majątku — stu czteremastu członków — na milion z góry ludności stołecznego miasta Warszawy.

Przy różnych „sposobnościach” Komitet zbiera datki dobrowolne. Wyrobił on sobie cały aparat, który skłania publiczność do płacenia tych dodatków tak, że sięgają one poważnej sumy około 400 tys. zł. Ale przecie to jest praca dobrej organizacji, spręży-

ście działającej maszyny, pompy, powiedzmy obrazowo, która wysysa skąd tylko może pieniądze na społecznie i państwowo niezbędną robotę. Śród nieustannych utyskiwań na wyzysk, wśród obmierzłych sobkowsko wstrętnych narzeki na zbiórki na karotę. To nie jest akcja społeczeństwa, nie jest miara jego świadomego do sprawy stosunku.

Możnaby na to odpowiedzieć zapytaniem, czemuż ten aparat nie werbuje członków, czemu nie rozwija należytej agitacji? Czemu nie stara się przeniknąć wszędzie tak, jak przenika LOPP lub Liga Morska?

Zarzut taki nie byłby całkowiec słuszny. Komitet prowadzi akcję nie propagandową, jak tamte instytucje, nie uświadamiającą, ale opiekuńczą, konkretną. Wszystkich jego siły muszą być skierowane ku karmieniu, odżywianiu, ku opiece nad człowiekiem. Stąd płynie ograniczona możność propagandy, stąd bezwarunkowa niemożność sypania środkami na reklamę. Lecz oto okazuje się, że społeczeństwo jest tak bezwzględnie bierne, że bez tej reklamy, bez nieustannego krzyku nie potrafi się zrzeszyć około zagadnienia najpilniejszej nawet doniosłości, że nie poczuwa się do żadnych organizacyjnych obowiązków względem instytucji, która stoi na straży tego, by na ulicach stolicy Polski ludzie z głodu nie padali, walczy o to, by człowiek miał dach nad głową.

To trzeba skonstatować z całą szczerością. I trzeba sobie powiedzieć, że z biernością tą walczyć należy wszystkimi rozporządzalnymi środkami. Komitet Obywatelski już dziś reprezentuje tak poważną placówkę społeczną, że nie może pozostawać w szczipłem gronie swych założycieli, że powinien rozszerzyć swe ramy — że z pomocą powinien mu przyjąć cały myślenie ogół. Tylko że to jest sprawa właśnie tego myślenia ogółu. Komitet nie może nikogo ciągnąć za uszy.

INSTYTUT WIEDZY PRACOWNICZEJ.

Powołany został do życia Instytut Wiedzy Pracowniczej, który postawił sobie za zadanie zbadać, czy są dziedziny życia gospodarczego, dla których brak nam fachowców, przeprowadzenie odpowiednich kursów dla fachowców, których nam brak, szukanie dla absolwentów zarobkowej pracy, powoływanie do życia placówek odpowiednich.

Rzecz jasna, że dziedzin pracy nieobjętych przez nasze życie gospodarcze, jest bardzo dużo. Ogromne galerie przemysłu chemicznego, wytwórstwo całego szeregu artykułów otrzymywanych laboratoryjnie, prawie, że u nas nie istnieje. Brak nam fachowców w handlu dla całego szeregu artykułów roli i hodowli. Światła inicjatywa może tu zrobić bardzo wiele i wyprecz znaczną część importu na rzecz wytwórczości polskiej, zatrudniając znaczną ilość ludzi, waleśających się dziś bez roboty. To też inicjatywę p. Rygięra, który jest duszą tego przedsięwzięcia, należy powitać z całym uznaniem. Inicjatywa ta przecież będzie dawała w pełni odpowiednie wyniki wtedy, gdy pod uwagę zostaną wzięte kwalifikacje moralne kandydatów i ich faktyczne uzdolnienia. Indywidualizacja wypadków poszczególnych jest tu nieodzowna, jak nieodzowny jest i aparat personalny, tę indywidualizację przeprowadzający.

Sprawie tej poświęćmy niebawem nieco więcej miejsca.

ZDARZENIA I UWAGI

KROK DALEJ.

Cała prasa powitała przyjazd ministra Titulescu do Warszawy z wielką życzliwością. Sojusz nasz z Rumunią jest doskonale zrozumiały i nie budzi bodaj w nikim żadnych wątpliwości. „Gazeta Polska“, w krótkim artykule podnosi doniosłość tej wizyty, wskazując, że Warszawa jest pierwszym etapem podróży p. Titulescu. Stąd udaje się on do Sofji i Ankary. Pismo podnosi sympatie, jakie nas łączy z Bułgarią i Turcją i wierzy, że na kurtuazji się nie skończy.

Pójdziemy krok dalej. Wierzmy, że odwiedziny p. Titulescu u nas to krok ku stworzeniu Bloku Bałtycko-Adriatyckiego, a może Bałtycko-Egejskiego. Rozumiemy względnie ostrożności, które pismu urzędowemu nie pozwalają powiedzieć więcej — niż w danej chwili można. I rozumiemy swój obowiązek powiedzenia nawet więcej, niż można.

Blok Bałtycko-Adriatycki to potęga polityczna — to — ulega wątpliwości — rozwiązanie całego szeregu zagadnień gospodarczych — to etap decydujący na drodze do istotnej pacyfikacji Europy. Czy prędko on się ziszczy — nie wiemy. Nie ważylibyśmy się nawet dyktować naszemu ministrowi spraw zagranicznych momentu, w którym słowa te mają być wypowiedziane urzędowo. Blok ten atoli — to ogromny cel moralny, to idea o wielkiej doniosłości etycznej — to jest realizacja sprawiedliwości międzyludzkiej i międzynarodowej w Europie, realizacja nie przez mły pacyfizm i szlachetną deklamację, ale przez tworzenie potęgi, która swych postulatów potrafi bronić ogniem i żelazem — i właśnie dlatego nie będzie potrzebowała sięgać po broń — chyba przeciw szaleńcom, którzyby w proch starci zostali.

Blok — to jest wielka idea. Blok — to istotna misja dziejowa naszego narodu, misja logicznie nam przysługująca przez wielkość i obecność narzuconą; misja, którą wcześniej czy później wypełnić musimy.

I nie wolno jest o tem milczeć. Nie wolno, gdyż w sercach narodów — jeżeli nie rosną wielkie idee — gnieźdzą się najniebezpieczniejsze gady łajdactwa, szowinizmu, nacjonalizmu, ekskluzywizmu wszelkiego rodzaju. Paczą one psychikę, wyjąfawiają duszę i prowadzą do potworności w rodzaju niemieckiego rasizmu, który przecież w najlepszym wypadku można by określić jako ideologię stadnyń rozpiodowej, gdzie podmioty sprowadzają się dobrowolnie do roli przedmiotów.

Blok — to jest wartość nie tylko na jutro, kiedy przystąpimy do budowania go, ale na dziś, gdy kładzie się poden zręby w opinii publicznej, kiedy ściera się kanty pomiędzy państwami poszczególnymi, by mogły przystać do siebie zupełnie — to jest wartość idei, która zmusi nas do pracy, do wytrwałej roboty nad budową tego, co jest wielkie.

I dlatego witaliśmy ministra Titulescu serdecznie. Witaliśmy jako Rumuna, jako czynnego członka Małej Ententy, jako przyjaciela szlachetnego narodu Bułgarskiego i przyjaciela Turcji, owej Turcji z którą toczyliśmy walki, która przecież nie uznała rozbioru, dokonanego przy pomocy ocalonego przez nas Wiednia.

Nie mogło być gościa miłszego. Z innymi mogą nas

łączyć układy, traktaty — nawet przyjaźnie. Z panem Titulescu, z reprezentowanym przez niego narodem pragniemy pracować dla stworzenia jedności.

UNARODOWIENIE KOPALN.

Chodzą pogłoski o mającem nastąpić unarodowieniu kopalń w Zagłębiu węglowym. Nie wiemy, czy plan ten jest konkretnie opracowany — nie wiemy nawet, czy sfery oficjalne poważnie się nim zajmują. Ale, jeżeli o planie mowa, to bezwarunkowo czas jest na przeprowadzenie go zupełnie odpowiednio. Kopalnictwo węglowe żyje już dziś kosztem państwa. Państwo daje mu możliwość wyjścia na rynek międzynarodowy, państwo podtrzymuje go swemi zamówieniami, jako konsument, państwo wreszcie broni go wewnątrz kraju od konkurencji i utrzymuje ceny węgla na poziomie opłacalności.

Wzamin za to państwo nie uzyskuje dla gospodarstwa narodowego nawet tej minimalnej ilości walut, jaka odpowiada wartości rynkowej sprzedawanego węgla. Nie otrzymuje, gdyż handel węglem pozostaje w rękach obcych, a w znacznej mierze w rękach spółek, mających siedzibę poza granicami kraju. W tych warunkach cała nasza polityka węglowa wzmagając kapitał obcy, kapitał w interesie którego nie leży dochodowość samych kopalń.

Według planu, o którym mówią pogłoski, kopalnie mają być wykupione, ale nie za gotówkę, tylko za eksportowany węgiel. Spłata następowała by stopniowo. Plan ten uważać należy za zdrowy i mający wszystkie widoki powodzenia a naprawdę nie naruszałby on interesów żadnego z polskich przedsiębiorców. Co innego, że byłby to krok bardzo poważny w kierunku upaństwowienia przemysłu. Prawda, plan przewiduje utworzenie w przyszłości prywatnych konsorcjów, które by kopalnie przejęły. Trzeba jednak wątpić, czy dąłoby się istotnie konsorcja takie zorganizować bez zbyt daleko posuniętych ofiar i porażek. Wątpić też należy, czy tworzenie takich konsorcjów leżałoby w interesie publicznym.

WYGLĄDZANIE MIAST.

W tym roku, jak i w poprzednim, podjęta została przez t. zw. stronnictwa ludowe akcja za strajkami rolniczymi, który polegać miał na niedowożeniu do miast artykułów żywności. W kilkunastu miejscowościach nawet nie odbyły się targi. W kilku miastach doszło do zaburzeń. W Nowym Targu poła się krew. Rzecz niezmiernie charakterystyczna, akcja ta spłokała się z prawie nieukrywana aprobatą organów „socjalistycznych“ — choć wymierzona jest przeciw tanioci środków żywności i to nie tych, którzy spekulują na swi wykupie, ale właśnie tych, którzy bezpośrednio idą dla spożytku.

I wszczynanie i aprobatą należą do kategorii tego, co dyktuje rozpacz ludzi tracących wpływy. Skutki akcji tego rodzaju muszą być z natury rzeczy żadne. Być może, iż gdzieś niedługo uzyska się podwyżkę cen, którą zniweluje natychmiast nieuniknione zakończenie „atracju“. Czasową podwyżkę wykorzystają oczywiście jedynie pośrednicy. Skutek więc może być tylko jeden: Pewien wzrost nastrojów opozycyjnych, pewna ilość zaburzeń i — dalsza dezorganizacja wsi.

OCHRONA MNIEJSZOŚCI.

Wystąpiliśmy przed Iorun Ligi Narodów z żądaniem rozszerzenia ochrony mniejszości narodowych na wszystkie państwa. Teza słuszna zupełnie i uzasadniona najpełniej wymogami postępu i demokracji. Francja wystąpiła z wnioskiem własnym, domagającym się jedynie potwierdzenia rezolucji o obowiązku szanowania przez wszystkie państwa praw mniejszości narodowych i potępienia w sposób prze-

rzysty gwałtów stosowanych przez Niemców względem żydów. Dla Francji stanowisko Polski jest nie do przyjęcia w żadnym razie. Dość przeczyta ostatni list otwarty Romain Rolanda o gwałtach stosowanych w jej koloniach względem ludności kolorowej, aby zrozumieć, że nie zgodzi się ona za nic na kontrolę swoich organów na pozaeuropejskich kontynentach, na możność wnoszenia skarg na nią przed forum międzynarodowe.

Poparcie natomiast mamy ze strony wszystkich państw Europy Środkowej. Dla nich wszystkich, jak i dla nas, pomimo licznych kłopotów z tem związanych, sprawa ochrony mniejszości ma wagę dużą. Płynność narodowych granic sprawia, że wszyscy mamy rodaków poza rubieżami państw. Ponadto ruch emigracyjny we wszystkich tych krajach istnieje i ma wewnętrzne dane rozwoju. Ochrona tej emigracji, tej jej części zwłaszcza, która zmienia obywatelstwo i traci opiekę konsulatów, ma duże znaczenie. Poza tem jest to dla nas sprawa zrównania spraw poszczególnych państw i zniesienia upodlenia nas pod tym względem. Trzeba podnieść raz jeszcze zgodność interesów państw Europy Środkowej. Ta zgodność musi prowadzić do zbliżenia dalszego.

TRZEBA BYĆ KONSEKWENTNYM.

Słery rządowe niejednokrotnie zaznaczyły, że antysemityzmu tolerować nie myślą. Uważamy to za pewnik. Ale właśnie dla tego wymagamy od wszystkich czujności pod tym względem. Czujność tę powinny były wykazać odpowiednie czynniki i nie dopuścić do bezsensownej rezolucji gdyńskiej o wyłączności żywiołu polskiego w życiu gospodarzem Pomorza. Takiej wyłączności niema nigdzie, a być nie może w mieście portowym. Czujność też jest wskazana i dla niektórych publicystów. Zwroty o „Herszu” Libermanie, spotykane w jednym z poważnych pism stolicy, są conajmniej niesmaczne. Do przyjaciół tego polityka nie należymy, ale czyż na takie lub inne ustosunkowanie się do niego może mieć wpływ jego pochodzenie żydowskie? Jest to... przykre (jakżeż ogólnie wyrażenie!) schlabianie najnikczemniejszym instynktom, na które nie wolno sobie pozwalać elicie mającej wychowywać społeczeństwo.

DZIENNIKARZE W NIEMCZECH

Dziennikarze w Niemczech zostali ujęci w twarde rzyzy organizacyjne. Do przymusowej korporacji ich mogą być przyjęci tylko kowalmyślni aryjczyści. Komu innemu pracować w dziennikarstwie nie wolno. Prasa została poddana całkowitej kontroli władzy, pisać można tylko tak, jak władza nakaze.

Bardzo ciekawy jest komentarz, dodany przez p. Goebelsa do tych zarządzeń. Zarzut — powiada on — że ustawa krępuje wolność wypowiedzania się dla publicystów — jest nieistotny, śmieszny. Dziennikarz nigdy nie miał tej wolności. Niechby tak spróbował któryś napisać coś wbrew opinii wy dawnictwa.

I naprawdę — nie wieleby mógł świat współczesny na to odpowiedzieć. „Opinia publiczna” jest w rękach nie tylko partyj politycznych, ale przede wszystkim grup finansowych i przemysłowych, przeprowadzających swój punkt widzenia i tylko na marginesie pozostawiających czasem pewną dozę t. zw. swobody — dla zyskania popularności, albo też „koncernów prasowych” spekulujących na popularności coraz to innych hasel czy programów, a najczęściej — nastrojów. Nie ulega wątpliwości, że państwo ma podstawy twierdzić, że słuszniej być na usługach jego — niż na usługach grupy. Etyczne podstawy do przeprowadzania pomysłów prasowych hitlerowskich, faszystowskich czy komunistycznych daje właśnie ta notoryczna zależność ludzi pióra. Protestować prze-

ciwko nim właściwie mogą tylko ci, którzy i dotąd niezależności swej strzegli. Z tego trzeba sobie poważnie zdawać sprawę. Niezależni ludzie pióra powinni się zrzeczyć i stanąć w zwartym szeregu.

INFLACJA

Inflacja w Stanach Zjednoczonych poczyna niepokoić tamtejsze sfery przemysłowe. Domagają się jej natomiast rolnicy. Inflacja była w tym kraju stosowana niejednokrotnie. Następowała ona tam nieraz wskutek żądań całych stronnictw politycznych — posiada więc swoją tradycję i literaturę. Dla farmerów, którzy w czasach koniunktury bardzo chętnie się zadłużają, inflacja jest znakomitą środkiem uwolnienia się tanim kosztem od długów, a więc jedynym zbawieniem od katastrofalnej sytuacji. Dług zaciągany przy cenie żyta, powiedzmy, 40 zł. jest poprostu niemożliwy do zapłacenia, gdy to żyto kosztuje tylko 10 zł. Rolnik musiałby spłacać w pracy i towarze poprostu cztery razy więcej niż wziął. Na tem opiera się właśnie popularna obecnie w Ameryce teoria Irwina.

Atoli w realizacji tej inflacji natrafia p. Roosevelt na bardzo mocny opór finansów i przemysłu. Nacisk ze strony rządu na banki w kierunku zliberalizowania zasad kredytu spotyka się z zdaniem państwowych gwarancy dla tego kredytu. Gwarancje zaś te oznaczają nieomal upaństwowienie banków, gdyż p. Roosevelt udzieli ich jedynie pod warunkiem odstąpienia na rzecz instytucji państwowych akcyj uprzywilejowanych. W ten sposób finanse prywatne zostałyby całkowicie wydane pod zarząd państwowy. Czy wobec tego zapasy gotówki nie uciekną do złota? czy nie skryją się za granicę? Czy obok dolara papierowego nie powstanie nowa, tajna złota waluta, która kursować będzie pomimo wszelkich zakazów i umknie od wszelkiej kontroli. Oto pytania, jakie stawiają sobie ekonomiści tamtejsi.

SPRAWA ROZBROJENIA.

Zagadnienie rozbrojenia utknęło znowu na martwym punkcie. Niemcy nie godzą się ani na kontrolę, ani na zastąpienie Reichswehry przez milicję, ani na rozwiązanie organizacji wojskowych. Nie godzą się wogóle na okres próby. Stawiają sprawę zupełnie stanowczo na gruncie dozbrojenia, przyznania im równych praw w dziedzinie zbrojeń. Trzeba sobie powiedzieć wyraźnie — stawiają, bo mogą stawiać, bo niema w Europie siły, któraby im przeszkodziła się dozbrajać. Presja militarna — jest wykluczona. Nikt wojny przewencyjnej nie chce. Presja gospodarcza — bodaj czy jest podobieństwem w dzisiejszych czasach. Mogą Rzeszę bojkotować Sowiety, mając cały handel skoncentrowany w rękach Państwa. Inne kraje zażędo w Niemcy włożyły, aby niszczyć z niemi stosunki, które choć cośkolwiek jeszcze dają. W tych warunkach Hitler może postępować tak, jak chce, i tak jak chce postępować będzie. Co więcej — warunki jego sprowadzają się do urzędowego przyznania Niemcom tego, co one już posiadają.

A wobec tego zostaje wysięć zbrojeń — a wysięć ten jest lemm prawdopodobniejszy, że rozbiera się dla sąsiadów Niemiec — znaczy to pozostawić im kolosalną przewagę w dziedzinie tajnych zbrojeń, albo ohochniczki, nieurzędowych organizacji, które tam już się przyjęły, posiadają tradycje i wyrobione metody działania.

Nie też zdziwnego, że ustępliwość gabinetu p. Daladiera i jego gotowość zredukowania sił zbrojnych Francji wywołała poważne zmniejszenie we wszystkich kołach, orientujących się w sytuacji.

NIEFORTUNNA PRÓBA

Ruch spółdzielczy nie cieszy się u nas popularnością. Nieznany jest poprostu w kołach inteligentnych. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Może częściowo jest to wina nieumiejętnej propagandy, może przyczyniły się do tego nieumiejętne próby narzucenia formy spółdzielczej budownictwu mieszkaniowemu. Trudno o tem mówić. Dość, że przeciętny nasz inteligent jest zdziwiony dowiadując się, że spółdzielnie w Polsce liczą niespełna półtora miliona członków, że jeden z najgłębszych, a może najgłębszy filozof ruchu spółdzielczego na świecie był Polakiem i nazywał się Abramowski.

Z kół kramarskich czasem słyszy się narzekania na konkurencję sklepów spożywczych, którym daje wyraz nieraz demagogiczna prasa kupiecka. Zresztą cyfry obrotów naszych spółdzielni, ich udział w produkcji i wywozie, sprzedaży jaj i innych towarów jest — niestety — niezbyt imponujący — więc ekonomiści traktują cały ten ruch jako *quantité négligeable*, a szeroka publiczność jako coś arcy-nudnego.

Stosunek stronnictw politycznych do spółdzielczości jest wybitnie nieufny. Znaczna ich ilość chciałaby widzieć w jej placówkach swoje ekspozyturę, a gdy się te bronią wszystkimi siłami przeciwko spartyjnieniu, poczynają uważać je za rodzaj konkurencji, zwłaszcza, że ruch ten pociąga pewną ilość jednostek czynnych, odrywając je od agitacji politycznej. Stąd rodmuchiwanie wszelkiego rodzaju wypadków nadużyć, stąd hałas o każde niepowodzenie gospodarcze — stąd nieustanne — „szukanie dziury w całym” i ataki najczęściej bardzo niechlujne przeciwko przywódcom naszej kooperacji — zwłaszcza wiejskiej. Bryzg tego błota niejednokrotnie rozlatują się szerzej niż jakiegokolwiek inne informacje.

Znaczenie naszego ruchu spółdzielczego jest ogromne. Nie mówimy już o ochronie konsumenta miejskiego, wydanego obecnie na łup najzupełniej z anarchizowanego handlu kramarskiego, handlu rozdrobnionego i zwyrodniałego — najpoważniej bowiem przedstawia się rola spółdzielczości na wsi. Rolnik, jeżeli nawet przez odpowiednią instrukcję, przez wychowanie, propagandę, i jednym słowem przysposobienie — jak się to dzisiaj mówi — może stanąć i stać na wysokości zadania, jako wytwórca — to nigdy, w żadnych warunkach nie może i nie będzie mógł sprostać wymogom życia, jako sprzedawca swych płodów. Gospodarstwo rolne drobne, czy nawet średnie daje produkty zbyt różnorodne, i w zbyt małej ilości z każdego rodzaju, by gospodarz mógł je dostawiać do rąk hurtownika odrazu. Staje się on przedmiotem najokropniejszego wyzysku. Ceny giełdowe na wsi — to legenda. Stąd ogromna rozpętłość cen produktów roli, drożyna w mieście i tanizm na wsi; tylko spółdzielczość koordynująca handel większej ilości gospodarstw może na to poradzić. ale spółdzielczość może być wytworem jedynie odpowiednio uświadomionego środowiska. Nie można jej powołać do życia sztucznie, żadnym nakazem zgóry. Wszystkie spółdzielnie zorganizowane przez doraźną agitację rozsypują się w proch. Spółdzielnia — to nie plan, ani pieniądź — to ludzie! Wymaga ona od swoich członków wyrobienia, zrozumienia dla wartości spółdzielni, karności organizacyjnej, zdolności przewidywania i umiejętności poświęcenia chwilowych korzyści.

I stąd płynie znaczenie wychowawcze spółdzielni.

Podnosi ona swoich członków, zmusza ich do solidarności, do osiągania wspólnym wysiłkiem celów ogólnych, gromadzkich, budzi zmysł oszczędności przez kasy pożyczkowe, rozciąga kontrolę nad życiem członków, zmusza ich do czytania, do kształcenia się, do solidarności w postępowaniu. To nie zrzeszenie polityczne, do którego się ciągnie człowieka za uszy — to zespół, który niedorastającą pod względem moralnym jednostkę albo podniesie, albo — usunie.

Ale właśnie to moralne znaczenie spółdzielczości wymaga jaknajszerszej swobody, wymaga jaknajliberalniej pojętej wolności. Nie żądamy, rzecz jasna, wolności dla nadużyć, ani jakiegokolwiek pobłażania. Bezkarność nadużyć płynie w naszych stosunkach bynajmniej nie z powodów wewnętrznych spółdzielczości, ale poprostu z przepracowania naszych władz sądowych i śledczych, z przewlekania się każdej sprawy, z rozpływania się jej, nieumiejętności zainteresowanych formułowania oskarżenia i braku z ich strony umiejętności gromadzenia dowodów. Na to nie poradzi żadna ustawa — to nie może być zafalowane jedynie i wyłącznie przez oddzielenie naszych sądów. Spółdzielczość walczy z nadużyciami w sposób bezwzględny i stanowczy i to na wszystkich szczeblach organizacyjnych. Jedyna pomoc, z jaką powinno przysięść jej państwo — to przyspieszenie wymiaru sprawiedliwości, czego zresztą nie tylko spółdzielczość, ale całe życie się domaga. Ale nigdy, pod żadnym pozorem nie powinny władze administracyjne, nie znające metod wychowawczych spółdzielczości, wtrącać się w ich życie organizacyjne. Minister skarbu na podstawie jednego z pomysłów ustawodawczych ma uzyskać daleko idące uprawnienia w sprawach organizacyjnych spółdzielni. I pod jakim kątem widzenia uprawnienia te byłoby wyzyskane? — w najlepszym razie pod kątem widzenia gospodarczym! Tak — ale pominięta byłaby sprawa wychowawcza, której nie jest w stanie ogarnąć resort skarbu.

Władze posiadają i dziś ogromną rolę do kontroli działalności spółdzielczej. Nie mówiąc już o uprawnieniach rewizyjnych, nie mówiąc o tem, że niezrzeszone spółdzielnie podlegają bezpośrednio kontroli Rady Spółdzielczej — przecież w rękach władz jest cała polityka kredytowa. Niestety do dziś dnia w tej dziedzinie nie było żadnego ogólnego planu postępowania. W każdym powiecie polityka względem spółdzielczości jest inna, każdy urzędnik kieruje się pod tym względem własną koncepcją, albo brakiem koncepcji. Kredyt z instytucji państwowych udzielany bywa spółdzielniom najczęściej zupełnie anarchicznie, bez porozumienia nawet ze związkami rewizyjnymi i kierował się nieraz tam, gdzie nie był ani gospodarz, ani moralnie uzasadniony. Dziedzina ta musi być uporządkowana z ogromnym pożytkiem dla spółdzielczości i dla wpływu na nie czynników państwowych. Na podstawie też uporządkowania tych spraw może być jedynie mowa o doświadczeniu, które pozwoli znowelizować ustawę o spółdzielniach. Nowelizacja taka jest potrzebna. Potrzebna jest do walki z tem wszystkim, co pod płaszczykiem spółdzielczości uprawia spekulacja. Na tem polu znajdzie rząd zawsze pomoc i daleko idące współdziałanie wszystkich zainteresowanych w sprawie czystości ruchu.

Ale ograniczenie wolności spółdzielni byłoby podrywaniem ich bytu, ich niespożyte wartości moralnej, byłoby pozbawieniem ich duszy. B. Ch.

DYSKUSJA

PROCESY O ROZRUCHY

Przed szeregiem sądów małopolskich rozpoczęły się długie procesy o rozruchy. Powody są różne. Zakazany wic, niedozwolone strzelanie z moździerza, rabunek leśny, rozruchy antysemitki. W każdym wypadku policja interwenjowała, tłum rzucił się na nią, padła salwa ostrzegająca, potem druga salwa... Padali policjanci, ranni lub kontuzjowani, czasem nawet zabici — koniec końców padali chłopci. W każdej miejscowości były trupy — sporo trupów. Według urzędowych komunikatów policja miała stuprocentową rację. Władza bezpieczeństwa nie może się dać wyprzedzić — musi opanować sytuację — choćby to miało kosztować bardzo drogo. Być może, że w tym lub innym wypadku przewód sądowy wykaże winę tego czy innego funkcjonariusza — nie ulęga wątpliwości, że spotka go kara. Ale nie o to nam chodzi.

Podnieść należy masowość zjawiska rozruchów. Podnieść należy ich anarchiczny charakter. Sprawa wygląda tak, jakby materiał palny się gromadził i ostatecznie wybuch nastąpił z jakiegoś zupełnie nieprzewidzianego powodu — najzupełniej niespodziewanie dla władz, zupełnie niespodziewanie i dla samego tłumy. Zwalić winę na agitatorów — nie wystarczy. Agitator jest bezsilny, gdy nie ma dla swej działalności odpowiedniego podłoża. Dziś to podłoża stanowi nędza wsi i jej beznadziejność wobec stosunków gospodarczych. Chłop czuje potworną krzywdę, jaką cierpi wskutek spadku cen wszystkiego, co wytwarza. Nie może on zrozumieć, dlaczego musi poczuć w życiu czy masle płacić podatki, kolej, papierosy, cukier, kiedy za inne artykuły wypadła tylko podwójnie. Akcja egzekucyjna pogarsza sprawę. To jest tło niebezpieczne. To jest tło, na którym Bóg wie co może się jeszcze wydarzyć.

W tej sytuacji nieodwołalnie potrzebna jest praca profilaktyczna. Władze polityczne powinny poprzez wszelkimi siłami wszelką myśl organizacyjną społeczną, wszelkie poczynania skierowane ku podniesieniu poziomu świadomości wśród ludu. Akcja społeczna wszelka jest najważniejszym sprzymierzeńcem władz bezpieczeństwa, gdyż czynniejsze elementy znajdujący w niej upust dla swej energii i wpływają psakającą na ogół, a pośrednio, czy bezpośrednio przyczynia się ona i do polepszenia sytuacji.

Słusznie zupełnie szliśmy po linii usprawnienia administracji, słusznie usprawnienie administracji jest i nadal troską władz centralnych. Nie trzeba jednak upadać w jednostronność. Czas obecny wykazuje, jak się mści brak należytej organizacji społecznej i wszelka nieuzasadniona podejrzliwość pod jej adresem jest naprawdę do najwyższego stopnia nie wskazana.

Zaznaczyć należy, że forsowanie „Strzelca” bynajmniej nie wystarczy — ogarnąć on może tylko drobną część zainteresowań ludności, a jeżeli sięga po wpływ na całość życia, z natury rzeczy spotyka się z reakcją. Nie, działalność organizacyjna musi być wszechstronna, objąć i zagadnienia gospodarcze i oświatowe i kulturalne. Na to zagadnienie stanowczo zamało zwracamy uwagę. A i to rzecz nie mało ważna — aby się tego rodzaju organizacje rozwijały, trzeba im dać swobodę. Trzeba, żeby ludzie zdawali sobie sprawę, że mają wolność inicjatywy i pracy i postanowień, nie może każdy ich krok być zatwier-

dzony przez przodownika P. P. lub nawet przez starostę. Kontrola ich działalności winna być bardzo ostrożna i nie może wykraczać poza to, co jest istotnie niezbędne. Na wszystko należy rozważać bardzo poważnie. Bez organizacji społecznej policja nie zdola zapobiec wypadkom, które tylko najwyższy niepokój wzbudzić muszą.

POD NACISKIEM

Tak właśnie dowcip stolicy wytłumaczył owe litery P. N., umieszczone na żetonach pamiątkowych Pożyczki Narodowej. Niektóre pisma przez cały czas subskrypcji zapelniały szpalty przykładami presji, wykręcając na przymus stosowany w poszczególnych urzędach, czy instytucjach.

Owszem — przymus był. Czuliśmy go wszyscy. Był tak mocny, że oprócz się mu nie mogli ludzie stojący nawet poza urzędami i instytucjami, oprócz się mu nie mogli nawet przygodnie zarobkujący „bezrobotni”. Musiało się dawać nie z nadmiaru, nie z tego, co by człek mógł zaoszczędzić — ale z najniezbędniejszych środków utrzymania. Był przymus moralny, który ogarnął wszystkich. I był ten przymus zupełnie usprawiedliwiony — bo pożyczka była dla Państwa niezbędna — była koniecznością. Kiedy przychodzi wojna — powołuje się ludzi do szeregów pod przymusem fizycznym i nikt o to pretensji niema — chyba wrogowie państwa. Teraz zastosowano przymus moralny. I — powiedzmy sobie — nawet ci, co początkowo zymali się na ów nacisk, po ogłoszeniu wyników subskrypcji poczuli dumę z tego, że wzięli udział w istotnie wielkiem dziele, w wielkiem czynie społeczeństwa. Podziwiamy organizację, która szybko i sprawnie wydobyla 324 milionów złotych, która zdolała pokryć niedobory finansowe skarbu, która zapewniła równowagę budżetową na 15 miesięcy. Trudno nam wykręsać z siebie entuzjazm dla świadomości społeczeństwa. To złuda. Ale mamy całkowite uznanie dla organizacji państwowej, która właśnie to społeczeństwo blerne, naogół nieświadome, niewychowane należyście umiała skłonić do spełnienia obowiązku. O! i koniec.

W poprzednim numerze podaliśmy cyfry pożyczki przed zakończeniem subskrypcji. Oceniliśmy ją za nisko. Zamiast 240 milionów podpisano 324. Ale za to udział przemysłu w niej podaliśmy — za wysoko. Całość jego wynosi 60 milionów, ale z tego 20 milionów przypada na członków zarządów i pracowników. Przemysł więc sam — przedsiębiorstwa daly skarbowi Państwa zaledwie 40 milionów — trochę więcej niż ósma część całości. Cały przemysł dał tyle, co banki państwowe. Zestawienie znamienne — bardzo znamienne i bardzo pouczające. Nie o moralną stronę tej sprawy nam chodzi, ale o faktyczną rolę przemysłu w naszym życiu państwowem. I tu z całą świadomością rzeczy stwierdzamy raz jeszcze, że przewrót się już dokonał. Ustrój kapitalistyczny już właściwie nie istnieje. Istnieją tylko formy przezeń stworzone — formy, które życie burzy coraz wyraźniej. Burzy je u nas — burzy i zagranicą. I naiwnością jest twierdzić, że faszyzm, hitleryzm, rooseweltyzm ratują ustrój kapitalistyczny. One właśnie krok po kroku niszcza to wszystko, co stanowiło jego treść

istotną — wolność wytwarzania i wolność spółzawodnictwa — niszczą i prywatne posiadanie środków produkcji i obrót wytwarzanymi dobrami. Inna sprawa, że niszczenie to odbywa się nie rękami proletariatu, jak tego chciało stronnictwo socjalistyczne, ale rękami państwa — władz państwowych, które zresztą nie czynią tego w imię idei społecznej jakiegś, ale z konieczności, utwierdzając stan faktyczny, obalając fikcje, które bez względu na to, czy są dobre, czy złe — już nie mają siły żywotnych, jak nie stanowią oparcia dla nikogo.

Przemiana społeczna w ten sposób dokonuje się zupełnie innymi drogami, niż jej zwolennicy przypuszczali. I ta odmienność dróg tak ich sugestjonuje, że nie mogą, nie umieją jej spóldzielać i — rzecz niezmienne charakterystyczna — stają w obozie reakcji.

OPINIE

Świetne artykuły p. E. P. w „Kurjerze Porannym” na temat Annapola, artykuły przedstawiające gehennę dwunastotysięcznego miasta eksmitowanych, poruszyły opinię publiczną. Uzpełnienie ich przez p. Naglerową pogłębiło jeszcze ponure cienie, obrazując jednocześnie ogrom dobrej woli i organizacyjnej pomocy, z jaką tam przychodzi „Osiedle”. Pani Naglerowa ma zupełną rację, podnosząc ofiarności pracy — nie udowodniła jednak (bo i nie miała zamiaru) celowości gromadzenia w jednym miejscu takiej ilości ludzi — takiej ilości nieszczęścia.

Co innego, że nie zupełnie wyraźnie podkreśla utalentowaną autorka różnicę pomiędzy Komitetem Obywatelskim Pomocy społecznej a „Osiedlem”. „Osiedle” istotnie organizuje pomoc doraźną — Komitet Obywatelski obok poważnej akcji żywienia przewodził idzie w kierunku pobudzenia sił żywotnych człowieka, wydobywa z niego siły twórcze, wychowania go do życia społecznego. „Osiedle” przychodzi z pomocą wszędzie — z natury rzeczy pracuje na samym dnie nędzy. Obywatelski Komitet wytycza wszystkie wysiłki ku niedopuszczeniu rozbitcia się rodziny, ku niedopuszczeniu do stoczenia się człowieka w — lumpenproletariatwo. To wykreśla zupełnie wyraźne granice pomiędzy instytucjami, pomiędzy sferą ich działalności. I byłoby rzeczą korzystną, aby specjalizacja ta postępowała w dalszym ciągu. Wtedy porozumienie i ściśle współdziałanie wydałoby niewątpliwie doskonałe rezultaty. Tak nam się przedstawia logiczny rozwój wypadków. Zastrzegamy się wszakże

przed jakąkolwiek chęcią sugerowania, lub narzucania czegokolwiek Szanownym Instytucjom, które wykazały dotąd tyle sprawności i energii.

Na dane hasło Annapolem i związanymi z nim sprawami zajęły się i inne pisma. „Kurjer Warszawski” oświecił faktyczny stan tej sprawy w artykułach p. Z. Zol. A następnie podjął ją jeszcze raz p. J. Cz., sięgając do wydawnictwa „Walka z nieszczęściem” i cytując szeroko opinie prof. M. Orzechkiego w sprawach mieszkaniowych. P. J. Cz. zatrzymuje się na zdaniu, że najpożytejszą w danej chwili rzecz jest pozostawianie bezrobotnych na ich dawnych mieszkaniach na podstawie indywidualnego oddalania eksmisji przez sądy. Do czego to prowadzi? — rozumuje dalej Szanowny nestor naszej publicystyki społecznej. Do nieplacenia podatków przez gospodarzy, do nieremontowania kamienic i do eksmisji lokatorów ze względu na bezpieczeństwo. Teoretycznie to — słuszne. Ale poradnia prawnicza Sekcji pomocy Matce i Dziecku O. K. P. S. nie zadawała się nigdy obroną. Wywiera ona nacisk na swych podopiecznych w kierunku płacenia komornego. I dziś już nie do sądów, ale właśnie do Sekcji. I Sekcja interwenjuje — najczęściej skutecznie. Obrona prawnicza jest fragmentem całości działalności — to, co p. J. Cz. uznaje za społecznie destrukcyjne w akcji prawniczej, znajduje uzupelnienie na innym polu i wytwarza całość, która wychodzi istotnie na korzyść nie tylko podopiecznym, ale i właścicielom domów. Gdyby ogół gospodarzy to zrozumiał, to pieniądze, wydawane dziś nieopatrnie na procesy, znalazłyby się w kasie Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej i poszłyby na powiększenie i rozszerzenie działalności na rzecz — między innymi — płacenia komornego, działalności dającej o wiele większe wyniki niż sprawy sądowe i egzekucyjne.

Na wysokim poziomie stojąca „Epoka” zestawia poszczególne ustępy sprawozdania Sekcji Pomocy Matce i Dziecku, dochodząc do zupełnie uzasadnionego wniosku, że konsekwencja pcha ją w kierunku akcji świadomego macierzyństwa. Wniosek jest najzupełniej słuszny, gdyż, jak to podnieśliśmy w poprzednim numerze naszego pisma, stan dzisiejszy pcha kobietę w odmet zbrodni i akuszerskiego znachorstwa, którego skutki — to kalectwo i zwyrodnienie. Mamy nadzieję, że Sekcja, pogłębiając nieustannie swą pracę, znajdzie realizację i dla tej sprawy.

„PRAWDZIWA LEGENDA”

Prawdopodobnie niejedną z nas zastanowił się, wymawiając słowo Grecja, nad dziwnym stosunkiem rzeczywistości — obecnej, aktualnej — do innej, przeżytej, na którą składa się suma przeżyć kulturalnych, przemysłów artystycznych. Grecja. Co na dźwięk tego wyrazu w nas powstaje? Czy myślimy o tem państwie obecnem, w którym coś się łamie, coś kształci, coś walczy — o byt, o miejsce pod słońcem. O tem państwie, w którym zwalczają się partje, klasy, grupy, przywódcy, orientując ku różnym sąsiadom i koncepcjom? Czy może przychodzą nam do głowy walki Demetriusa i innych bojowników wolności — te same, które zapalały ofiarnym ogniem Byrona, które

podniecały fantazję Słowackiego, a na początku ubiegłego wieku wstrząsały wszystkimi duchami szlachetnym? Chyba nie. Chyba największa ilość głosów wewnętrznych kulturalnego człowieka współczesnego opowie się za Grecją inną — za Grecją kolebką cywilizacji, kultury europejskiej, kultury światowej, ziemią matką a jakżeż wielką — ziemią dawną — a jakżeż bliską, ojczyzną Homera, Sofokla, Platona.

Uczono nas o niej. Musieliśmy kuć jej mitologię, jej legendy. Za nieznaną czynów bohaterów Heraklesa, albo resortów, piastowanych przez poszczególne muzy, oberwało się czasem dwoje. A prze-

cież nigdy i bodaj dla nikogo nauka o tem wszystkim nie stała się martwą. Wściekał się człowiek na łacine, kłął w żywe kamienie wszystkich Gwelfów i Gibellinów, z całej duszy pomstował na wybrzyki nieprzyzwolite róż angielskich, z obrzydzeniem wyrzucał z pamięci resztki Liwiuszów i Tacytów — ale Grecja — zostawała zawsze w swej nieśmiertelnej chwale — cudna, jak marmury Fidjasza, przepaści sta — jak tragedia Eischyla — swobodna, jak myśl platońska.

Tę właśnie Grecję zapragnął nam ukazać raz jeszcze prof. Tadeusz Zieliński^{*)}. Tę Grecję — najprawdziwszą — tę Grecję najistotniejszą — tę która dziś żyje bardziej realnie, niż ta nowa, posiadająca armję, skarb i przemysł i kartel. Czy żyje tak samo jak dawniej?

Nie! — Nie zawsze człowiek jest w pełni świadom tego, co dokonuje. Nie zawsze rozumie wagę doniosłości swoich czynów. Kto wie, czy Sofokles, kołatając o pieniądze na wyszkolenie chorów, wyobrażał sobie, że „Antygona” wzruszać będzie czytelnika w kabine pasażerskiego pławowca, zdobnego w fotografie Akropolu? Kto wie, czy Sokrates przypuszczał, że po dwóch tysiącach lat, jego obrona recytowana będzie przez największych słowa artystów do mikrofonu radja. Kto wie, czy myślał Perykles, że szczegóły jego życia zajmować będą ludzi przez wieki i wieków wieki? I oczywiście, że nie chodził oni za życia w glorię tego, co dokonali i nie byli tak równi i promienni, jakimi dziś ich widzimy. Ale płońtoż przecie w nich światło, które świeci aż dotąd. I im bardziej byli realni, im bardziej zbliżeni byli do pospólności, im podobniejsi byli do innych śmiertelnych, tem głębsza — tem cudowniejsza będzie tajemnica ich mocy twórczej, co tysiąclecia przetrwała.

Oto dlaczego prof. Zieliński w niesłychanym umiarze, z przedziwną maestrią splata prawdę z legendą — łączy dokument i powieść, umiając wszystkim w czarowny tok opowiadania, który płynie i płynie, jak najpiękniejsza poezja, budząc nie tylko myśl — ale tęsknotę — wzruszając nas dziejami Periandra, zachwycając monumentalnem współzawodnictwem Kimona i Periklesa, porywając demostenesowym protestem.

Przez prof. Zielińskiego przemawia głęboka miłość dla świata antycznego. Uczony mówi o najbliższych sobie ludziach i rozkoszuje się ich twórcami i ma tyle siły przekonania, tyle artystycznego słowa, że przelewa to z przedziwną bezpośredniością w dusze słuchacza.

Może ktoś powie, że wolałby widzieć Grecję „obrózowioną”. Dla historii cywilizacji, ma to ogromne znaczenie — nie przeczymy i badań w tym kierunku nie uważamy za bezowocne. Ba — być może, że ułatwią nam bardzo wiele, że nauczą głębiej poglądać w rozwój moralności człowieka, że otworzą nam drogi do sledzenia krętej ścieżki myśli — zanikającej w pewnych okresach, ukazujących się znów, jak niktne i wyłaniające się na powierzchnię potoki w górach wapiennych Krasu. To wszystko prawda. Tylko jedno. Oto wszystkie te badania wykryją dla nas nie co innego tylko ogniwa pomiędzy tą Grecją, która kiedyś była i tą antyczną Grecją, która dziś jest i która nas kształci. Wtedy będą miały znaczenie

ogólno - ludzkie. Bo jeżeli wykryją nici wiążące ją z Grecją dzisiejszą, umieszczoną jako państwo w południowej części półwyspu bałkańskiego — będą miały znaczenie jedynie lokalne.

Prof. Zieliński podał nam ze świata antycznego to, co jest w nim ważnego, wielkiego. Podał to tak dostojnie — jak nikt przed nim.

Oto dlaczego nie wahamy się przypomnieć o tej — być może nie najświeższej na półkach księgarskich książce i twierdzić, że jest to jedna z największych aktualności wydawniczych, że aktualnością pozostanie na długie lata, że będzie nią tak długo, jak długo ukochanie piękna nie zgaśnie w duszy człowieka.

A cechę trwałości i harmonij umocniła w niej i szata wydawnicza, pełna głębokiej i kulturalnej staranności, co cechuje resztą wszystkie książki zdobne kłosem z inicjałami J. M.

A. Uziembło.

NOWE DROGI

Żegluga — to jeden z organów gospodarczego życia — nie ulega wątpliwości. A przecież do jej rozwoju przyczynił się więcej entuzjazm niż pieniądź. Prawda, rządy i kompanie wyznaczały nagrody dla odkrywców przejść zachodnich, czy wschodnich, dla śmiałków, którzy osiągną pewien stopień szerokości, czy długości geograficznej — ale cóżby ten pieniądź zrobił, gdyby nie siła ducha takich jednostek jak MacClintock, Cook, Nordenskiöld, Nansen i całego legiona ludzi o nerwach ze stali, o sercach, które się na ogień rozżarzyły, o duszach zdolnych do największych poświęceń.

Ich zapal wiodł tłumy, ich płomień zapalał całe szeregi bezimiennych rycerzy, którzy szli do walki z burzami i nawałnicami, szli w skwar i cisze mórz równikowych — płynęli na ogromne fale południowych mórz — dążyli w lody arktyczne, okalali ze wszystkich stron Antarktydę, zdobywając krok po kroku, pędz po pędzi nowe obszary, zapewniając coraz nowymi danymi białe plamy na mapach.

Tych zdobywców oceanów dała w największej mierze marynarka wojenna, która we wszystkich krajach umiała służyć celom nauki. Nawet flota niemiecka, która ostatnia wysunęła się na widownię świata i ta pełnią służbę na dalekich wodach, wzięła udział w wielkiej pracy odkrywczej i upamiętniła nazwami swych uczonych, czy wielkich ludzi szereg punktów na globie ziemskim.

Wielkie podróże odkrywcze zawsze rozpały fantazję marynarzy, budziły w ich szeregach entuzjazm i stawały, jako cel przed oczyma młodzieży.

Dziś — zdobywcze wyprawy należą już do przeszłości. Cała kula ziemiska jest podzielona — cała jest znana. Zostały do zbadania tylko mroźne strefy Antarktydy nęcące jeszcze najtęższych podróżników Anglii, Stanów Zjednoczonych — czasem Norwegów. Wyprawy te mają jednak interes czysto naukowy — żaden cel praktyczny nie jest z nimi związany — i prawdopodobnie wiele czasu upłynie zanim cel ten się zjawi.

Cóż więc zapalać może naszych marynarzy? Pozostała im konduktorska jazda na szlakach uczęszczanych. Pozostała wędrówka po przez Atlantyk tam i z powrotem — czasem dzika wyprawa z jakimś ładunkiem do Indji. A kresem marzeń — to mroźne Japońskie. To kres.

^{*)} Tadeusz Zieliński: świat antyczny. Grecja niepodległa. W 2 tomach, str. 377. Warszawa 1933. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Czy w tych warunkach może się rozwinąć typ marynarza polskiego? Czy w tych warunkach nie będzie on zawsze dystansowany przez innych? Czy w tych warunkach żegluga polska ma jakiegokolwiek szanse zrównania się ze światową? Oto pytania, jakie mimowoli się cisną na usta na myśl o tych naszych biednych „trampach” wędrujących niezmiennie po Bałtyku, wychylających się zrzadka na inne morza, te same pytania z nie mniejszą siłą nasuwają się wtedy, gdy mowa o marynarce wojennej, zamkniętej na wodach zatoki Puckiej, dla której „wielkim pływaniem” są odwiedziny w Estonii, czy Szwecji.

A przecież bez wielkich celów, bez widoków wielkiego współzawodnictwa o rozwój marynarki niema mowy. Dziś jeszcze pcha do niej entuzjazm naszą młodzież, bo morze jest wogóle nowością, bo każdy podmuch wiatru wydymający żagle już animuje, bo człowiek się czuje na pełnym morzu skoro tylko brzeg z oczu straci. Ale nowość mija. Ubogo się czuje nasz „Wicher” nawet wobec krątownika obcego. Kopcuzkiem jest nasza „Polonia” wobec Rex’a, Maurytanji, czy jakiego innego statku transatlantyckiego o pojemności większej, niż cała flota polska razem wzięta.

W lotnictwie czujemy się na równych prawach i dlatego wydobywamy z siebie maksimum sił, i dlatego stajemy w konkursach na naczelnem miejscu, i zdobywamy prawo urządzania challenge’ów, zawodów o puchar Gordona. Na morzu dławić nas musi poczucie niższości.

Czy jednak naprawdę musimy? Istotnie, ziemia już jest podzielona. Rzeczywiście, myśleć o kolonjach, wobec zupełnego bankructwa polityki kolonialnej na świecie — trudno co najmniej. Najwyżej możemy myśleć o kolonizacji pewnych obszarów na zasadach nie nie mających wspólnego ze zdobywczością polityczną. To wszystko prawda. Ale to nie znaczy, by marynarka nasza nie mogła mieć wielkich celów, nie mogła mieć ogromnego pola do zaszczytnej, pionierskiej działalności.

Niejednokrotnie znawcy sytuacji światowej zwracali naszą uwagę na Daleki Wschód. Niejednokrotnie mogliśmy odegrać w układzie stosunków tamtejszych bardzo poważną rolę. Pamiętajmy o tem, że w swoim czasie o przyjaźni z nami zabiegały Chiny ze względu na możliwość zawarcia właśnie z nami umowy bez klauzuli kapitulacyjnej, a przez to samo uczynienia wyłomu w dotychczasowych stosunkach z państwami Europy. Możliwość wymiany wszelkiego rodzaju z państwami Dalekiego Wschodu bynajmniej nie jest dla nas mało ważna. Wymiana towarowa z tak ogromnym rynkiem jak chiński, rokować może najwspanialszą przyszłość. Zapoznanie się z życiem tak do cna rolniczego narodu, jak chiński nie jest bezwzględnie obojętne. Należałoby sprawdzić, czy traktowanie „per nogam” zdobywczy tego kraju w dziedzinie agrarnej jest słuszne i czy zdobywcze te są naprawdę tak mało warte, jak o tem zapewnia nas aferzysta europejski, traktujący z góry wszystko, co wymyślił człowiek kolorowy.

Myśmy na wschodzie nigdy nie byli ciemieźcami. Nigdzie nie przychodzili z bagnetem, kulą — nie narzucali nikomu ani wódki ani opium. Mamy czyste sumienie wobec mieszkańców innych lądów. I to teraz, w chwili budzenia się ludów kolorowych daje

nam ogromną przewagę, daje nam ogromne szanse w stosunkach z nimi.

I oto wypada nam otworzyć sobie drogę do nich — drogę najkrótszą, drogę niezależną ani od kaprysów państw lądowych ani od kanałów strzeżonych przez innych.

Ta droga wiedzie pod lodami Oceanu Północnego.

Niech nikt nie przeraża się tą myślą. Jest ona i prosta i wykonalna. Droga ta jest kilkakrotnie krótsza, niż okólna, wiodąca przez Śródziemne Morze, jest prosta — jak strzał. A Lody? Dzisiejsza technika nurkowych statków jest tak daleko rozwinięta, że przebycie jej nie przedstawia żadnej poważniejszej trudności.

Lody oceanu arktycznego nie są grube. Badania najlepszych ich znawcy, Nansena stwierdzają, że przeciętna ich grubość wynosi jakichś dwa i pół metra.

Oczywiście, że istnieją i spiętrzenia. Te spiętrzenia przecież również nie są tak znaczne, jak to przypuszczała dawna legenda. Nansen w całej swej podróży tylko raz widział wzniesienie lodowe wyższe nad 10 m.

Żegluga więc na głębokości jakichś 25—50 metrów nie przedstawia tam przypuszczalnie większych trudności.

Lody arktyczne nawet w czasie zimy nie są wszędzie jednolite. Tam i sam zawsze spotykają się rysy i przerwy — wody czyste. Czyli wyruszenie się nurkowca w ciągu podróży bynajmniej nie jest niemożliwe.

Prawda — jazda na ślepo jest trudna, zwłaszcza jeśli się nie zna drogi. Są przecie aparaty akustyczne, które rozpoznanie przeszkód znacznie ułatwiają, są możliwości wprawienia okien w kadłub nurkowca. Są już nurkowce przystosowane do badań naukowych. Podróż podmorska nie jest rzeczą niemożliwą — nie leży już w krainie fantazji. A jeżeli tak — trzeba ją przedsięwziąć.

Przed kilku laty jeszcze ci co mówili poważnie o Gdyni byli uważani za fantastów, których zaledwie tolerowano. Wydawało się niemożliwością sztuczne stworzenie miasta całego. Podróż podmorska, która rozszerza stosunki polskie na cały świat, która nam dać może komunikację bezpośrednią z Oceanem Spokojnym, jest o wiele łatwiejsza rzeczą, niż Gdynia. Podróż ta wymaga woli, wymaga energii, wymaga jednej tylko drobnej części tego, cośmy włożyli w naszą hippikę, a bodaj w piłkę nożną.

Więc nie spoglądajmy na nią jako na coś dalekiego. Ludzie są. Są statki podwodne, na których nie trudno przeprowadzić odpowiednie adaptacje — jest wszystko, co potrzeba. Jest i Liga Morska, Liga zbrojna w odpowiednie środki propagandy, Liga stojąca na straży ideowości naszej sprawy morskiej. Brakuje inicjatywy. I tę inicjatywę trzeba rzucić, by ożywić nasz pęd na morze, aby otworzyć przed naszymi marynarzami, przed społeczeństwem naszym nowe, piękne, zdobywcze drogi.

A. U.

Proces w Samborze

Uczestnicy mordu popełnionego na s. p. Tadeuszu Hołdwe, zostali skazani. Sprawa przed sądem skończyła się. Czy skończyła się w opinii publicznej? Chyba nie. Podniosła ona tyle spraw, tyle bolesnych

momentów, że zamilczeć o niej bodaj czy można, bodaj czy wolno.

Oskarżeni? Bunij, zbałamucony stróż hotelowy reprezentuje jeszcze pewną ideaowość, pewną wartość osobistą. Motyka — człowiek bez charakteru, niespożyty duch — zdradca. Baranowski — prowokator, jedna z najniebezpieczniejszych postaci, włączających się około ruchu rewolucyjnego. Nie, ci ludzie nie reprezentowali społeczeństwa ukraińskiego. W ten sposób nie można myśleć o narodzie, do którego należą adw. Szuchewicz lub pos. Łucki. I już sam fakt, że nazwiska tych szanownych ludzi wpłątane zostały do tego procesu, już ten sam fakt mówi dobitnie o niezdrowych stosunkach, na których wyrosła zbrodnia i proces.

Władza prokuratorska reprezentowała państwo. I dobrze się stało, że p. prokurator tak mocno pościł system prowokacji. Tylko to nie wystarczy. Boć nie wiemy, czy pomimo tego potępienia niebawem znów się jakiś Baranowski nie ukaże — ba! nie wiemy, czy jakiś inny Baranowski już nie pracuje dla jakiegoś naiwnego oficera policji, nie wiemy, czy pracy tej nie tolerują jacyś rodzeni czy duchowi bracia niektórych świadków procesu. Tak jest — to co mówili panowie Billewicz i Iwachow, musiało napędląć wszystkich myślących ludzi najwyższym niepokojem...

A społeczeństwo polskie kto reprezentował? P. mec. Szurlej? W tem także widzimy duże nieporozumienie. Nie negujemy jego zdolności ani krasomówstwa — nie. Ale wątpimy, czy pod jego słowami podpisałby się ś. p. Tadeusz Hołowko — tak to wszystko było odległe od czynów tego światłego i szlachetnego człowieka.

Boć czy wolno powiedzieć — „nie róbcie spisków, to nie będzie prowokacji?”. Czy tak wolno było powiedzieć Polakowi, odpowiedzialnemu za swoje państwo? Cóż to? Czy postępowanie nasze, jego poziom moralny ma zależeć od jakiegoś Motyki, czy Bunija? Bunij, portjerek hotelowy, zaczyna spiskować — to my już mamy uciekać się do prowokacji? Nie, panie mecenasie, przepraszam bardzo, myśmy niepodległość wywalczyli nie tylko od Moskali czy Prusaków, ale i od łajdactwa i tego łajdactwa nam nie narzuca Bunije. My na taki handel z nimi nie pójdziemy. Nie damy się w tym stopniu co pan otumaniać strachem. Ale to nie wszystko.

Nie wolno nam tak traktować ruchu ukraińskiego, jak to uczynił p. mecenas Szurlej. Myśmy, powiadał on bronili tego, cośmy zdobyli w ciągu tysiąca lat istnienia. Tak — broniliśmy ze wszystkich sił i dlatego przyznajemy prawo obrony dóbr własnych każdemu narodowi i dlatego patriotyzmu żadnego narodu potępiać nie będziemy i dlatego wiemy doskonale, że wartość narodu nie liczy się latami istnienia, ale napięciem sił duchowych.

A środki obrony?

Ujrzelśmy. Wygląda ona bynajmniej nie zachęcająco. I nie tylko u dołu. Jeżeli tacy Baranowscy mogą tam uzyskać stanowiska — to źle jest z tą organizacją — zupełnie źle.

Tylko pamiętać trzeba o jednym. Oto jeżeli ludzie czynniejsi, ludzie z nerwem społecznym, nie mają przed sobą pola pracy legalnej — to się rzucają do konspiracji. W konspiracji zaś trudno jest przeprowadzić należyty dobór. Wszak mieliśmy i my różnych Sukienników, Harewiczów, Sankowskich. W konspiracji... pamiętacie ten straszny wykrzyknik

Osta z „Róży” „...Między szpiegami ...dawne towarzysze!”.

A skoro już o „Róży” mowa, to przeczytajmy ją sobie od deski do deski. Przypomnijmy sobie słowa naczelnika wyrzeczone do Czarowica: „Lud sprzedaje żandarmom wasze tajemnice, jak żyto, perkal i imbir za gotowe pieniądze. Lud polski w naszych jest rękach!”.

A Czarowic na to: „Przyszła do niego polska inteligencja za szkołą, ze stowarzyszeniami, z organizacją. Wyście po barbarzyństwu, z bezdenną głupotą wszystkich zdusili. Lud zapamiętał ten krótki czas. Ujrzał przez krótką chwilę, co mu dawała Polska, ujrzał, co daje Rosja. Jeżeli jeszcze wśród nas są prowokatorowie i zdradcy, to nasza wielka wina... Ale nadzieje dzień, gdy zmyjemy do ostatniego znaku ten najwstrętniejszy stygmat waszego panowania”.

Tu jest wystarczyło.

Pan Szurlej miał rację pod jednym względem: nie da się porównać naszej niewoli z sytuacją ukraińców w Polsce. Nie da się porównać i prawo do ziemi. My jesteśmy we Lwowie autochtonami. Nasz bojowiec bił w służbę rządu najezdniczego — terror ukraiński uderza w obywatela miejscowego za to, że jest Polakiem.

Ale pcha go do tego fakt, żeśmy temu ukraińcowi równych szans w walce nie dali. A nie daliśmy dlatego, żeśmy we własne siły kulturalne zwątpili i tu leży całe nieporozumienie. Z tem to nieporozumieniem walczyl ś. p. Hołowko.

I Jego głosu mocnego, Jego głosu zabrakło na tym procesie. P. Szurlej dał głos ledwie zmordowanego nacjonalizmu — ale tego nacjonalizmu, który nie zna ani samej walki o niepodległość, ani jej ran, ani jej ciemnic.

J. Surzyński.

Z TRZECIEJ WARSZAWY

Tak często w naszym życiu spotykamy się ze słowami „wola mas”, „opinja społeczna”, „zdrowy instynkt ludowy”, że większość nas naprawdę uwierzyła w to wszystko, uwierzyła, że istnieje taka wola, czy opinja, czy instynkt, a że przedewszystkiem istnieje jakieś jedno, wielkie społeczeństwo polskie, które czasem wprawdzie dzieli „poglądy”, lecz które przecie w pewnych doniosłych chwilach „staje zwarte”...

Boże mój, jakżeź gruntownie trzeba nie znać stosunków, w których żyjemy, jakżeź gruntownie trzeba nie rozumieć bodaj życia stolicy, tej naszej Warszawy, aby mówić o czemś podobnem! Naród, społeczeństwo... Łatwo to to powiedzieć — ale przecie w Alei Ujazdowskiej mieszka bardzo wielu takich, którzy nigdy nie widzieli Nalewek, ani ul. Miłej, Ceglanej, Bema lub Szczęśliwieckiej. I tak samo na Woli — są tacy, którzy nigdy nie odważyli się, nie śmieli wyjść na spacer do Łazienek. Takich wszystkich zaliczamy do „klas robotniczej”, do „proletariatu”, który znamy z pism, z gromkich uchwał, podejmowanych na wiecach, z wiadomości o strajkach. Niejednokrotnie patrzmy na nich z nieufnością — ze strachem, jak na skład materiału łatwopalnego, lub zgola wybuchowego.

Ale ten „proletariat”, owa „klasa pracująca”, czy „robotnicza”, zorganizowana w partyjne, czy bezpartyjne związki — to cienka warstwa. Poza nią jest jeszcze następny stopień, jeszcze niższy społecznie i kul-

turalnie, a napewno dalszy bez porównania od „proletariatu”, niż „proletariat” od nas. Tam już nie docho-
dzi ani związek zawodowy, ani partja polityczna. Tam
dochodzą tylko mętne wieści, jakieś głuche pogłosy
z naszego życia. Tam panuje analfabetyzm — nieznane
jest prawo — nieznany obowiązek. Dociera tam —
opieka społeczna ze swoimi obiadami dla bezrobo-
tnych, ze swoimi „zupami”.

Z tych nizin, gdy człowiek spogląda w nieskończoną,
pnącą się w górę drabinę hierarchji społecznej — traci
rozumienie dla odległości. Rząd? — sejm — senat —
trybunały — wszystko to rozpiływa się w jakąś mgłę —
niezrozumiałą, przemożną — jak przeznaczenie. To
wyszło są — „Uni”. Do „Unych” należy i sędzia
i prokurator, i panie z „Opieki” i urzędnik, i kondu-
ktor tramwajowy i agitator polityczny, i sekretarz
związku zawodowego i rzemieślnik, zatrudniony w fa-
bryce i gospodarz domu i jego administrator — wszy-
stko to są „uni”, których to „unych” mandatariuszem
jest, w granatowy mundur przybrana „władza” wyda-
jąca ostateczne rozporządzenia, gromowładnie pilnu-
jąca... czego? — bynajmniej nie zawsze wiadomo cze-
go.

A najczęściej całkiem niewiadomo. Bo oto patrzą ci
ludzie na tuż pośród nich żyjący inny jeszcze świat —
przestępczy, żebraczy, włóczęgowski. Świat niebie-
skich ptaków wszelkiego rodzaju i widzą: ot żyje so-
bie tłuściej, stać go zawsze na wódkę i na kielbasę.
Komorne płaci, z gospodarzem jest w zgodzie. Chodzi
po świecie taki „elegant”. Dobrze mu. Czasem go za-
pakują do kryminalu. To zwyczajna przypadłość za-
wodowa. Potem wraca znów i znów robi swoje. Wszy-
scy o tem wiedzą. Każdy dzieciak wie o jego zawo-
dzie. No — a przecie „władza” — ta gromowładna
„władza”, czy „głina” nie wtrąca się w to towarzy-
stwo. Czemu? Dlaczego? I kóż tam może dociec, nie
rozumieją, co to jest dowód winy. To „uni” wie-
dzą — „uni” — ci dalecy, niepojęci, potężni „uni”,
na rozkazy których jest wojsko i pieniądz i wszyst-
ko, — tak nieskończenie odlegli, że nawet zazdrość
względem nich nie ma miejsca. Uni — przeznaczenie,
fatum — wszechmoc.

To nie jest świat przestępczy — podnosimy. O—nie!
Może bierność, może brak aktywności nie pozwala tym
ludziom rzucić się w odmet zbrodni — albo jeśli nie
zbrodni, to żebractwa, czy prostytucji, o ile chodzi
o kobiety. Może są oni zbyt mało czynni, może popro-
stu nie potrafia krążyć, czy rozbić? A może? — Mo-
że jeszcze co innego. Może właśnie tam, w otchłani
nędzy, w mroku ciemnoty, w brudzie fizycznym
i smrodzie nie do zniesienia tają się jakoweś odczucia
etyczne, mocne, tkwi jakaś głęboko zakorzeniona mo-
ralność — najbardziej ludzka, najbardziej wzniosła —
podtrzymująca człowieka na pewnym poziomie, nie
pozwalająca spaść poniżej — a nieraz wznosząca go
na szczyty heroizmu.

Widzieliśmy raz: oboje rodzice gdzieś przez zerwa-
ny przewód elektryczny zostali zabici. Elekrownia
Pruszkowska, której instalacje zerwane osierociły
czworgo dzieci — dotąd czeka na wyrok sądu, który
zmusi ją może kiedyś do ich zaopatrzenia. I oto ta
czwórka zostaje przyjęta przez kobietę — sąsiadkę,
która, aby opłacić mieszkanie, musi trzymać „supli-
katorów”. Do jednej piwnicznej izby, w której siedzi
i cała rodzina i współmieszkańcy wtłacza się nowa

czwórka głodnych i jest żywiona — chyba nie z nad-
miar! Jest opierana — ba — jest pieszczona!

Ta „trzecia Warszawa” warta jest poznania. I to
nie dlatego, że w czyjejs wyobraźni z tych „nizin”
mogą wybuchnąć wulkany, grożące rzezią i pożogą
„głasnacemu światu”, nie dlatego, że stamtąd jakoby
wyjść miała zagłada dla dzisiejszego ustroju, ale dla-
tego, że żyją tam podobni nam ludzie, że samo istnie-
nie tej masy, te straszliwe warunki w jakich ona żyje
same już są świadectwem niesłychanego rozkładu
dzisiejszego społeczeństwa.

Z tej to „trzeciej Warszawy” chcemy dać repor-
taż — szereg faktów — może rewelacyjnych dla
„Warszawy Pierwszej” — której życie według opinii
dołów uściela ją różę — nie tej legendarnej, która
w pojęciu „trzedziej” tylko się bawi i używa — ale tej
prawdziwej pracującej, myślącej, a żadnej istotnej,
głębokiej naprawy.

*

Kiedy w jednej ze świetlic kierownicza polecała
dzieciom skreślić po parę słów na temat, jak żyjem
w domu, posypały się odpowiedzi. A w każdej z nich
czytało się: głód, ciemno, zimno, brak ubrania, pijany
ojciec bije, matka bije — wszyscy biją. Z kartek
wyzierała czasem rozpacź bezdena — bolesna.

Gerzej już być nie może. Jedni — to znoszą. Ale
są tacy, co nie chcą. Taki jegomość ma 11—12 lat —
a już poznał życie. Ucieka. Niema go przez jesień —
niema przez zimę. Kiedyś widziała go siostra, jak
przemknął wieczorem — i znikł.

Na wiosnę powraca — jak gdyby nigdy nic. Przy-
szedł, położył się — śpi. Na pytania matki nie odpo-
wiada. Dopiero spokojne indagacje opiekunki społecz-
nej poczęły wydobywać prawdę.

Gdzie był? — niedaleko. Włóczył się po dzielni-
cach bogatszych. Tam chodzą ludzie lepiej ubrani.
Tam można coś zebrać. Nocami wystawał przy wej-
ściu do restauracji, kawiarni. Prosił „matka chora —
ojciec bez pracy”... czasem coś kapło — czasem i nie.

A gdzieś nocował? Koło mostu — znamy te budynki,
z których ze względu na bezpieczeństwo — zdaje się
dziesięć lat temu usuwano przemocą studentów. Wej-
ście do nich grodził drut kolczasty. Tam się gromadzi
bezdena hałasra wszelkiego rodzaju urwpołciów,
włóczęgów. Przekradają się chyłkiem i śpią przytlu-
leni do siebie — aby nie czuć mrozu. Czasem obława
policyjna spadnie — wtedy ucieczka. Czasem, gdy
któryś odejdzie na bok — szczerzy go pogryzą. Cza-
sem jest spokój. Ci co więcej uzebrali przynoszą
wódkę.

Chłopak się chępliw swobodnym życiem — właśnie
tak, jak London opisujący przygody na szlaku tram-
pów. Ale w pewnych chwilach tę chępliwosć przery-
wa coś — zatchnął się. Patrzy przerażeniem oczy-
ma... Wtedy delikatne, ostrożne pytania wyrwyją
mu prawdę. Pijaństwo, orgie homoseksualne dzieci
po 11—14 lat. Rany od pobicia przez zazdrośnego
„kochanka”, ślady szczerzych zębów... Okropne bóje
przy grze w karty, samosąd krwawy nad szulerem...
Jakaś wizja — potworna — jakiś kosmar, którego
to jedenastoletnie dziecko nie może znieść. W domu
biją — niech biją. Jest głodno — wszystko jedno —
było nie tamta swoboda. Swoboda w środku miasta —
w dawnych koszarach Blocha...

Jaką reszka siły wyrwał się i powrócił do domu.
Co robić, aby dom go utrzymał? Co czynić, by ten dom
był domem naprawdę.

Stefan Ojrzyski.

SPRAWY SPOŁECZNE

FUNDUSZ PRACY.

Pierwsze półrocze wykazało następujące wyniki działalności Funduszu Pracy. Zamiast prelimitowanych 50 milionów wpłynęło (okrągło) 20 milionów, na pomoc zaś w naturze niespełna 15 milionów. Podział funduszy dokonano w ten sposób że 16% otrzymało województwo śląskie, 14% łódzkie, 13,9% kieleckie, 9,5% warszawskie i 8% Warszawa miasto. Inne, mniej uprzemysłowione województwa dostały mniejsze przydziały.

Na roboty drogowe wydano 13 milj., na kolejowe niecałe 4 miliony, melioracyjne 7,8 milj., na urzędników miejskie 11 milj., na budownictwo mieszkaniowe ok. 4 milj.

Jak widać więc w dziedzinie polityki kredytowej Fundusz Pracy przechrzył się przedewszystkiem do robót, które zajmują bezpośrednio jak największą ilość ludzi, unikając robót, które dają zatrudnienie pośrednio — to jest przez uruchomienie innych warsztatów pracy. W ten sposób Fundusz zatrudnił 60 tys. ludzi. Kto wie jednak, czy ruch budowlany należyce poparty nie dał by znacznie większego społecznego wyniku.

Pomoc bezrobotnym była udzielana w naturze, w następujących produktach: chleb, ziemniaki, węgiel, cukier i t. p., zakupując wszystko hurtownie z pierwszych rąk. Ponadto Fundusz w różnych miejscowościach rozdał 11 tys. działek gruntu na obszarze 1,000 ha.

Praca jest w każdym razie poważna. Dla omówienia jej przecie potrzebne są nieco ściśsze dane.

POMOC W DOSTAWACH.

Studja nad budżetami bezrobotnych, których jak dotąd zebrano około 300 dają już na pierwszy rzut oka niezmiernie ciekawe fakty. Pokazuje się, że ceny chleba płacone w poszczególnych dzielnicach miasta wahają się od 20 do 32 gr. za kilogram, że ceny ziemniaków wynoszą 6 do 9 gr. i t. d. Już sama różnica jest bardzo wiele mówiąca. Gorzej jest, jeżeli powiemy, że koszt własny chleba wynosi dziś niespełna 8 gr. kg., że ziemniaki można dostarczyć po 4 gr. kg.

Oto otwiera się przed naszymi oczyma potworny obraz niesłychanego wyzysku, na jaki wystawiona jest cała ludność stolicy, wyzysku, uprawianego przez nadmiernie rozdrobnione sklepikarstwo. Badania budżetowe wykazały, że ludność nasza mogła by dwa razy więcej spożywać, gdyby ten wyzysk został usunięty, i została zorganizowana naprawdę tania dostawa żywności dla sfer najszerzych stolicy.

Kupiectwo nasze powinno się zainteresować temi cyframi, powinno zrozumieć, że tworząc tego rodzaju rozpiętość cen, zmusza do podjęcia szeroko zakrojonej pracy w kierunku dostarczania ludności środków żywności po cenach właściwych. Akcja ta będzie podjęta — z całą energią i konsekwencją. Zdajemy sobie sprawę z tego, że znaczna ilość sklepików padnie, zdajemy sobie sprawę z tego, że znaczna ilość samodzielných jednostek gospodarczych

straci podstawy bytu. Trudno — będzie musiała poszukać pracy na innem polu. Pasożytnictwa żaden organizm cierpieć nie może.

POZA WARSZAWĘ.

Zupełnie racjonalnie spróbowano w ostatnich czasach rozstrzygnąć kilka spraw opiekuńczych. Umieszczenie umysłowo chorych w Choroszczy, przeniesienie pensjonarzy zakładu dla starców do Wieluńskiego — wszystko to odciąża do pewnego stopnia Warszawę, przysparzając jednocześnie spożywców pewnym okolicom prowincjonalnym. Pod względem gospodarczym więc zarządzenia te są bardzo racjonalne. Pozostaje poważna sprawa kontroli nad zakładami pozostającymi w takiej odległości od stolicy. Mamy nadzieję, że władze miejskie o niej nie zapomną.

Mamy też nadzieję, że tą samą drogą pójdą w sprawie organizacji domu pracy przymusowej dla żebraków.

POGOTOWIE MIESZKANIOWE.

Magistrat m. Warszawy powołuje do życia pogotowie mieszkaniowe. Pierwsze jego stadium; każdy eksmitowany na krótki okres może uzyskać dach nad głową. Ma tylko spanie — rzeczy pozostają w magazynie. Kto nie znalazł przez parę dni mieszkania, zostaje umieszczony na dłuższy czas w boksie. Bardzo pięknie. A co potem?

Oto i nowy paljatyw. Oto i nowy sposobik, na który znów podjęcie pewna ilość pieniędzy. A właściwie nie nowy — tylko poprostu odświeżenie dawnego, barakowego paljatywu.

SPRAWDZIANY.

Ustawy opracowuje się w gabinetach. Bodaj czy kiedykolwiek będzie inaczej. Obmyślają je specjaliści. Potem wchodzi one w życie i — zdają egzamin ze swej przydatności. To życie ukazuje w nich nieraz bardzo poważne luki. Takie luki rzucają się w oczy i w dziedzinie nauczania. Oto jeden przykład. Uczeń kończy okres obowiązkowego nauczania w 14-ym roku życia. A więc cóż ma robić? Może rozpocząć samodzielne zarobkowanie? Nie. Bo do pracy nie wolno przyjąć w tym wieku. A zatem chłopak idzie baki zbijać i zbija je co najmniej rok, w okresie, kiedy najłatwiej poddaje się wpływowi wszystkich aspołecznych elementów. To jedno. Albo więc trzeba przedłużyć okres powszechnego nauczania — albo zmienić ustawę o pracownikach małoletnich.

Opowiadamy się za pierwszym rozwiązaniem sprawy. I to nie tylko ze względu na szkodliwość pracy zarobkowej w wieku młodzieńczym. Mamy jeszcze powód. Oto co pisze o pewnej stronie nauki szkolnej u nas p. Rudzińska (Walka z nieszcześciem).

„W życiu ucznia szkoły średniej repetowanie klasy jest bardzo przykre, w życiu ucznia szkoły powszechnej opóźnienie o jeden rok — jest tragedją.

Ustawy szkolne dały dziecku 7 lat na ukończenie 7 oddziałów, kto się potknie choć jeden raz — ten już szkołę skończyć nie może. Od dziecka szkoły powszechnej, żyjącego w warunkach tak ciężkich, tak niesprzyjających normalnemu funkcjonowaniu systemu nerwowego i pracy umysłowej, żąda się bohaterstwa — wytrwania 7 lat na stanowisku. Wszystko jedno, czy przyczyną była choroba, czy odroczenie obowiązku szkolnego przez władze szkolne, z chwilą, gdy dziecko kończy 14 lat usuwa się je ze szkoły z 3-ma, 4-ma oddziałami, z 6-ma nawet. Karjera życiowa skończona — dziecko stoi bezradne wobec życia, jego przyszła rola jest z góry określona: Robotnik niewykwalifikowany. „Tak — bo przecież wszystkie szkoły rzemieślnicze przed takim są zamknięte”.

A więc pytanie polega na tem, czy chodzi o to, by szkoła uczyła, czy nauczyla? A po przyjęciu drugiej tezy — trzeba ustawę zmienić. To co mamy jest formalistyką — bardzo szkodliwą.

SPÓŁDZIELNIA PRACY MORSKIEJ.

Ukazały się w pismach notatki o spółdzielni pracy morskiej, która ma objąć eksploatację unieruchomionych statków. Spółdzielnia ma być zwolniona od amortyzacji okrętów i ma korzystać z kredytów na ich uruchomienie.

Spółdzielnia zatem nic swego nie wkłada. Dostaje statki i dostaje pieniądze. Pokrycie dla tej pożyczki ma stanowić eksploatacja. Eksploatacja ma dostarczyć pieniądze na wynagrodzenie marynarzy. Spółdzielnia zatem stanowi pewną pokrywykę do obniżenia ich zarobków i uzależnienia tych zarobków od przewozów, od pracy jaką okręt wykona. Marynarze ponoszą ryzyko bardzo poważne. Ryzyko jest zatem po obu stronach i właściciela okrętów i pracowników. Właściciel okrętu ma to, że statek eksploatowany wprawdzie niszczeje, ale niszczeje wolniej, niż leżący w porcie. Być może, że to przyniesie pewne korzyści — ale niewielkie i niestałe. O wiele racjonalniejszą rzeczą byłoby zapewnić pewną ilość frachtów naszym okrętom. Jeżeli dziś uprawnienia Państwa na to nie starczą — trzeba je rozszerzyć.

To po pierwsze. Po drugie, musi być podjęta poważniejsza inicjatywa gospodarcza w dziedzinie małej żeglugi. Nie mamy dziś statków, któreby kursowały pomiędzy naszym portem wewnętrznym — Tczewem, a przystaniami położonemi wewnątrz Szwecji, przy fjordach. Różne artykuły można by było dostarczać przez nie wzrost do rąk konsumentów wewnątrz Szwecji, w głębi Finlandji — bez przeładunku w wielkich portach, a więc znacznie taniej. Nieudolne kierownictwo zatraciło sens linii Wista—Bałtyk, założonej w swoim czasie przez inż. Nosowicza. Dziś warto by było pomyśleć o jej odrodzeniu. Na tem to polu, w operacjach mniejszych spółdzielczość morską ma istotnie dużo do zrobienia. W dziedzinie wielkiej żeglugi wątpimy, czy coś uda się jej dokonać. Raczej sądzimy, że będzie ona musiała poddać się temu samemu wrogowi, z jakim walczyła bezskutecznie Żegluga Polska — brakiem frachtów.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

FARSA HITLEROWSKA.

Niesłyszany bluff niemiecki w postaci opuszczenia Ligi Narodów, Konferencji rozbrojeniowej i zarządzenia wyborów i plebiscytu wewnątrz państwa nie zmienia w gruncie rzeczy niczem sytuacji europejskiej. Zmniejszy się ilość posiedzeń jawnych i tajnych, może nawet dygnitarzy pozostających poza krajami swej przynależności, wstrząśnięty zostanie nieco snobizm wszelkiego rodzaju „międzynarodowców”. Na tem koniec. Sama Liga Narodów bodaj, że nawet nie odczuje tego wstrząsu. Fakt, że Rzesza zdobywa się na tego rodzaju manifestację, świadczy w gruncie rzeczy o bezsilu jej obecnej polityki. Lekkiwie tyleć co fałszywie zapewnienia Hitlera o pokojowości Niemiec, wypowiedziane w zarządzeniem z niezwykle pośpiechem przemówieniu radiowemu, stwierdzają, że w gruncie rzeczy wszystko to jest obliczone na efekt wewnętrzny. Rząd, spotykając na każdym kroku same niepowodzenia na gruncie międzynarodowym i to niepowodzenia o jakich nie śniło się żadnemu z jego poprzedników, musiał uczynić coś głośniego, aby przez pewien bodaj czas płać się we wszelkiego rodzaju głosach prasy w tysiącach sprzecznych opinij. To jest polityka gwiazdy filmowej, która musi czynić wszystko, aby o niej mówiono. Obojętne jak — byle mówiono i to jak najgłośniej.

No i o Hitlerze znów będą mówić. Początkowo może ze zgrozą — a potem z pobażaniem — wreszcie z lekceważeniem zupełnem.

A jeszcze większem lekceważeniem przejmują opinję ów fakt rozpisania wyborów, które skończyć się mają na wiecach propagandowych, gdyż składanie list innych jak hitlerowskie — nie jest możliwe.

To nie komedia już, ale farsa!

WYDAWNICTWA

Franciszek Godlewski: „Pani Orzeszkowa” (Wspomnienia) z ilustracjami, str. 69. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Potoczyscie, swobodnie opowiada autor o życiu niezmordowanej pracowniczki pióra, która wielki swój talent oddała w służbę idei. Widzimy tu Orzeszkową w domu, przy pracy, wśród rodziny i przyjaciół — więcej wśród przyjaciół, bo właśnie gorąco ukochany przez nią mąż pozostaje w cieniu zupełnym, postaci jego wcale nie widzimy. A zdaje się, że to jest luka, która pozostawia wiele niezmiernie rzeczy niewyjaśnionych. Zresztą autor nie sili się nawet na stworzenie monografji.

Opowiada jedynie o osobie pisarki — takiej, jaką ją widział — z sentymentem — czasem z odrobiną dobrolitwej ironji — zawsze jednak z prawdziwym pietyzmem dla serca i talentu.

Bodajże rzecz ta bardziej zbliża nas do ciekawej postaci Orzeszkowej niż jakiegokolwiek źródłowo napisane życiorysy — gdyż bije z niej bezpośredniość. I żal tylko, że książeczka jest tak krótka. Talent autora, jego wyczucie autorki „Gloria victis” rekuja, że mógłby on dać nam pełny obraz Orzeszkowej — tej niezmiernie ciekawej postaci naszej literatury i naszego życia — tak niesłusznie prawie zapomnianej już dziś, a tak pilnie stojącej jeszcze niedawno na straży idealizmu polskiego.